

APTEKA
St. Jaglińskiej
Zwoleń

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

Nr. 400

H. T A I N E.

„ŻYWOT I MYŚLI
p. F. T. GRAINDORGE“

przełożyli z francuskiego

A. K. M.

z przedmową

Władysława Jabłonowskiego.

TOM II.

Cena 25 kop.

W prenum. 19¼ kop.

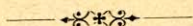
WARSZAWA
Redakcyja i Administracyja
14. Warecka 14.

1905.

APTEKA
St. Jaglińskiej
Zwoleń

„Żywot i myśli p. F. T. Graindorge”.

H. T A I N E.



„ŻYWOT I MYŚLI ———
p. F. T. GRAINDORGE”

przełożyli z francuskiego

A. K. M.

z przedmową

Władysława Jabłonowskiego.

APTEKA
Śl. Jaglińskiej
Zwoleń

TOM II.

WARSZAWA
DRUK JÓZEFA SIKORSKIEGO, WARECKA 14.
1905



Дозволено Цензурою.
Варшава 8 Сентября 1905 г.

82 338 / 2

17
K-1001 78/68925

~~APTEKA~~
~~St. Jaglińskiej~~
~~Zwoleń~~

ROZDZIAŁ XIV.

Projekt nowy, zgodny z wymaganiami cywilizacji nowoczesnej, mający na celu zapewnienie małżeństwom szczęścia i uregulowanie instytucji, która dotychczas zdana była na los ślepego przypadku.

Utile dulci.

Do Szanownego Redaktora *La Vie Parisienne*.

Szanowny Panie!

Z uczuciem głębokiego współczucia spogląda dziś bezstronny obserwator na wzrastające wciąż kłopoty rodzin francuskich, z powodu tej najważniejszej sprawy ich życia, jaką jest małżeństwo. W innych państwach, w Niemczech, w Ameryce, młodzi ludzie wybierają sami; wolno im z sobą chodzić i poznawać się bliżej; każde z nich jest panem i twórcą swej egzystencji; we Francji cały ten ciężar spada na rodziców. Ludzie pięćdziesięcioletni, którzy dotychczas zadowalali się grą w wista, odczuwają nagle potrzebę wydawania bali;

przyczyną tego jest obecność w domu córki dorosłej. Smutno jest patrzeć na matkę, nabierającą już tuszy, która zaczyna się ściskać, odkrywać ramiona, które zyskałyby, pozostając w ukryciu. Smutno jest patrzeć na ojca, zaczepiającego młodych ludzi — smutniej jeszcze widzieć tego ojca, cztery razy na tydzień nakładającego frak i biały krawat, torującego sobie drogę wśród tłoku, aby znaleźć dwa wolne fotele, dla żony i córki, a potem puścić się na poszukiwanie tancerzy. Tymczasem młoda panna, wystrójona, obwieszona wstążkami i biżuterią, siedzi nieruchomo, spuszczać oczy pod ogniem czterdziestu lornetek na nią zwróconych; matka zaś, siedząc pomiędzy dwiema nieznajomymi paniami, nie może się poruszyć, robi się czerwona z gorąca i zmęczenia, otwiera szeroko oczy, aby nie zasnąć i staje się podobna do kraba. Ale gdzie taki widok jest po prostu bolesnym, to na wsi: wydatki na stroje, rękawiczki, pantofelki, wzrastają niepomierne; niekończona ilość drobiu ginie pod nożem, a ponieważ drogą do serca jest podniebienie, więc całe szereg butelek omszałych przynoszone są z piwnicy dla podtrzymania humoru gości. Jeżeli dodamy, że jedna rodzina wydaje w takich okolicznościach dziesięć wieczorów i tyleż obiadów w przeciągu dwóch lat i bywa na stu balach, że budżet jej obciążony jest różnemi jeszcze nadzwyczajnemi rozchodami, obliczyć można wydatki średnio zamożnej rodziny na dwadzieścia tysięcy franków rocznie.

Czyż nie jest to zbyt wielkim ciężarem dla rodziców, zważywszy zwłaszcza na niewielką ilość osiągniętych tą drogą korzyści?

Ilu starających się można tym sposobem pozyskać? Około pięćdziesięciu, z których zaledwie pięciu można brać na seryo. Takich danych statystycznych dostarczyły mi panie, dokładnie obznajmione ze statystyką matrymonialną, sądzą przeto, że można na nich polegać. A teraz zadaję sobie pytanie, czy te pięć do sześciu partyi równoważą dwadzieścia tysięcy wydanych na ogłoszenia? Wypada po cztery tysiące franków na każdego konkurenta, co jest stanowczo za drogo, tembardziej, że czterech z nich nie posiada wymaganych materialnych warunków, piąty zaś przyjęty jest na męża często dlatego jedynie, że kiedyś zamaż wyjść trzeba. Najlepszym dowodem jak ograniczony jest wybór, jest wielka rola, jaką gra w zawarciu małżeństwa przypadek. Pewien młody obywatel podpisuje dwa miesiące temu plenipotentę u rejenta. Nagle rejent zaczyna mu się bacznie przyglądać, oblicza w myśli jego dochody, sprawdza, że nie jest łysy i woła: „Panie, zjawił się pan w samą porę: dwadzieścia lat, ładna blondynka, miłego charakteru, z dobrej rodziny, dwakroć gotówką, trzykroć w perspektywie! „Małżeństwo to doszło do skutku. Przyjaciel mój, p. B., odwiedził raz znajomych, do których przed chwilą zjechała kuzynka ze wsi. On jest ugrzecznony, ona znajduje go miłym, dowiadyuje się, że jest wdowcem i że ma córkę; przychodzi jej na myśl [prokurator z jej stron, który ma świetne stanowisko i otrzyma wkrótce krzyż legii honorowej. Małżeństwo to również się skojarzyło. Mnie samemu po powrocie z Ameryki, kiedy dolary zarobione na wieprzach otaczały mnie świetną aureolą i kiedy przyszła pa-

ni Graindorge zjawiała się czasami w moich marzeniach, widmo małżeńskie zajrzało parę razy w oczy; na przykład na bulwarach, gdy przyjaciel uderzał mnie poufale po ramieniu, lub po dobrym obiedzie, gdy rozmowa schodziła na bardziej osobiste tory; raz wychodząc od chirurga, który mi wycinał odciski; innym razem u Deligry'ego, gdy wypływałem na powierzchnię wody jak delfin. Dowodzi to, że biedni rodzice korzystają z każdej sposobności, by wędkę swą zapuścić.

Paru uczciwych przedsiębiorców pragnęło zarządzić złemu przez założenie agentury małżeństw. Nie rozumiem doprawdy, dlaczego ta transakcja, tak jasna, tak wygodna, tak zbliżona do giełdy w Paryżu lub Londynie, nie znalazła większego [uznania]. Czyż dla interesów nie jest korzystnem i usprawiedliwionem istnienie giełdy? A małżeństwo czy nie jest również interesem? Czyż nie mówi się: „Panna stu, dwustu-tysięczna?”

Czy dobry wygląd, korzystne miejsce, nadzieja awansu, nie są towarami ocenianemi na pięć, dziesięć, dwadzieścia tysięcy? Czy mój siostrzeniec, pan Anatol Durand, nie podniósł się o sto procent wartości, odkąd ludzie wiedzą, że nie zapomniałem o nim w testamencie? Czyż, gdyby nie nazywał się Durand, lecz du Rauz (szlachta szwajcarska, w herbie krowa na niebieskiem polu), nie byłby wart jeszcze o sto tysięcy więcej? Cóż lepszego i bardziej zgodnego z zasadami ekonomii politycznej, jak dostarczenie każdemu towarowi największego pola zbytu? Czy znacie inny sposób, aby osiągnął cenę najwyższą? Czyż prawodawca nie pragnie dla handlu

jaknajwiększego współzawodnictwa pomiędzy wszystkimi nabywcami i pomiędzy wszystkimi towarami, aby nikt nie nabywał i nie sprzedawał poniżej kursu? Gorszą się niektórzy agentami matrymonialnymi a czemu są, proszę mi powiedzieć, przyjaciółki, kuzynki, doktorzy, rejenci, jeżeli nie agentami tajnymi, a czasem nawet jawnymi? Odpowiadają mi na to, że się im nie płaci. Ależ owszem, często prezentem, a przynajmniej obiadami, grzecznościami, uznaniem, większemi lub mniejszemi usługami. Należy dodać, że w gruncie duszy nie wszyscy mają tyle skrupułów; agentura małżeństw rozszerza swoje interesy i kilka osób z najlepszego towarzystwa pożeniło się za jej pośrednictwem, nie jeden salon staje się za pieniądze terenem, gdzie mogą poznać się kandydaci i kandydatki, nie jeden młodzieniec, dobrze ubrany, poważny, wydający rocznie dwadzieścia tysięcy, choć rozporządza zaledwie sześciu tysiącami franków, otrzymuje niezbędne środki na opłacenie pensyi grooma i na lakierki. Ale miłość własna powstrzymuje rodziców od korzystania z usług tego tak pożytecznego przedsiębiorstwa, które mogłoby ich wydobyć z kłopotu.

Ileż razy myślałem o tych smutnych rzeczach! Jestem przemysłowcem i na pół Amerykaninem, ale mimo to [mam serce czułe na cudze cierpienia i z prawdziwem współczuciem patrzę na nieszczęśliwych ojców, biegających z wizytami i na matki, nudzące się na kanapie.

Pragnę podźwignąć swoją ojczyznę i sądzę, że jeśli jest tyle małżeństw nieszczęśliwych, pochodzi to ztąd, że nie dosyć myśleliśmy o sposobach zara-

dzenia temu. Jestem przekonany, że tak chorobę jak lekarstwo znaleźć można w naszych instytucjach i w charakterze naszego narodu. Dużo o tem myślałem, badałem geniusz naszego kraju i epoki, liczyłem się z dawnymi przesądami i potrzebami nowoczesnymi; starałem się korzystać z instytucji już istniejących i z nowych wynalazków; opierałem się na przykładach wziętych z życia, jednym słowem, nie żałowałem pracy, ani czasu; nakoniec wpadłem na nowy pomysł, którego nie wypada mi zachwalać; ale jego użyteczność jest tak uderzającą, że nie wątpię, iż najprostsze sprawozdanie zapewni mu uznanie ogółu.

II.

Proponuję założenie jeneralnej agentury małżeństw, mającej główne biuro w Paryżu, a filie na prowincyi i zagranicą. Agentura taka byłaby pod kontrolą, a nawet pod kierunkiem rządu. Miałaby swoją odrębną administrację, w której skład wchodziłoby ludzie znani z uczciwego charakteru i taktu. Chcąc korzystać z usług agentury, musiano by dostarczyć najdokładniejszych informacji o stanie zdrowia, majątku, przedstawić świadectwo doktora, wyciąg hypoteczny, tytuły własności, świadectwo prawne uczciwego życia i dobrych obyczajów etc. Z jakimże spokojem i pewnością mogłyby być zawierane małżeństwa przy zachowaniu takich środków ostrożności!

Ponieważ księża i urzędnicy sądowi stanowią klasę najbardziej szanowaną i najlepiej poinformo-

waną, obowiązkiem ich byłoby składać administracyi dokładniejszy portret kandydata. Cudowna centralizacya Francyi miałaby do spełnienia nowe zadanie, bardzo uspokajające dla rodzin i zachęcające do dobrych obyczajów.

Wielki zakład fotograficzny istniałby przy głównem biurze, a jego filie przy każdej filii; panna o pięćdziesięciu tysiącach posagu miałaby prawo do dwóch portretów w pozie siedzącej i stojącej, pierwszy z profilu, drugi *en face*. Mając sto tysięcy posagu miałaby się ową podobiznę w jednej szóstej naturalnej wielkości. Za dwakroć w jednej czwartej i w dodatku portret na koniu. Za dwakroć pięćdziesiąt tysięcy służyłoby prawo do poszczególnych fotografii czaszki (aby dowieść zakonserwowania włosów), ust otwartych, (aby pokazać stan zębów), rąk i nóg, (dla wykazania ich arystokratycznego kształtu). Przy wyższych jeszcze sferach posagowych możnaby żądać fotografii we fraku, tużurku, szlafroku, czepku nocnym, a nawet podczas golenia. (To ostatnie jest ważnem, aby potem nie mieć rozczarowania). Fotografie te i świadectwa byłyby oglądane przez rodziców, mających posażne córki na wydaniu.

Znaczenie fotografii byłoby ogromne; uniknęłoby się tym sposobem wielu kosztów daremnych, podróży i zawodów.

Do każdej oferty, złożonej w agenturze, musiałaby być dołączana cyfra posiadanego majątku. Co tydzień drukowana tablica obwieszczałaby ilość i jakość złożonych ofert; możnaby z takiej tablicy dowiedzieć się, że w ciągu tygodnia było tylu profe-

sorów, wojskowych, urzędników, tyle sześćdziesięciotysięcznych posagów, w żądaniu lub zaofiarowaniu. Odrazu ustanowiony byłby kurs. Gdyby naprzykład sędziowie byli poszukiwani, wartość ich wzrosłaby znacznie, to jest, że mogliby żądać większego posagu.

Polityka i handel oddziaływałyby na ten targ małżeński tak dobrze, jak na inne.

Groźba wojny obniżyłaby wartość oficerów. Wiadomość o zawartym w Ameryce pokoju podniosłaby w cenie przemysłowców. Każdy, czytając rano gazetę, znalazłby tam wartość swej osoby należycie ocenioną. Stosownie zaś do zniżki lub zwyżki, mógłby wybrać najstosowniejszą chwilę do postawienia swej kandydatury małżeńskiej. Trzeba skrócić te wywody, ale inteligentny czytelnik od jednego rzutu oka oceni, że projekt mój wniósłby w sprawę zawierania małżeństw dokładność, łatwość, rozsądek i logikę, będące przywilejem spraw giełdowych, a które dla niezrozumiałych powodów nie towarzyszyły nigdy sercowym sprawom.

Poprzestaję na tem, szanowny Panie, gdyż za wiele miejsca zająłby szczegółowy opis wszystkich szczęśliwych następstw tego tak praktycznego projektu. Jedno tylko słowo jeszcze dla wydobycia na jaw prawdy filozoficznej, która służyła mi za wskazówkę i zachętę. Ośmielam się twierdzić, że jestem w zgodzie z prądem swej epoki i narodu. Znamienną cechą naszego wieku jest przede wszystkim przewaga nauk pozytywnych—wpływ ich daje się zauważyć wszędzie i nieustannie. Wraz z niemi statystyka, ekonomia polityczna, zamięłowanie do spraw

przemysłowych, handlowych, praktycznych, ogarnęły wszystkie umysły.

Z drugiej strony znamiennym rysem naszego narodu jest to mianowicie, że zdolny jest do organizacyi i że jej ląkanie, że przedsięwzięcia prywatne udają się gorzej od instytucyi publicznych, że do każdej sprawy potrzebna mu jest centralizacya i kierownictwo. A teraz proszę mi powiedzieć, czy można powziąć projekt bardziej zgodny z temi dwiema dążnościami naszej epoki i narodu? Czyż nie rozszerza on pola interesów, nie daje większego rozgłosu sprawom handlowym, nie wprowadza w nie więcej ładu i ścisłości, nie stwarza od jednego zamachu większej liczby przemysłowców i urzędników, nie reguluje i nie ułatwia życia, nie zbliża wreszcie ludzi do tych pieniężnych wartości, z jakimi tak starają się siebie upodobnić? Nie wiem, jak zostanie przyjęty ten mój pomysł tak płodny w skutki zbawienne, ale co bądź nastąpi, smienienie mam czyste; nie wątpię, czuję z ręką na sercu, że jeśli gdzie rzucone przezemnie nasienie, stanę się użytecznym członkiem społeczeństwa. Wierzę w to tak silnie, że gotów jestem złożyć pierwsze na ten cel fundusze, które z pewnością przyniosą mi o dziesięć procent więcej, niż olej i solona wieprzowina.

ROZDZIAŁ XV.

OBIAD.

„Proszę jaśnie panią do stołu“.

Pani domu powstaje, ociągając się nieco i podaje rękę najwybitniejszemu z gości. Ten zrywa się skwapliwie, przechyla się z wdziękiem, szuka w myśli pięknego frazesu, ale poprzestaje na uśmiechu. Robi się małe zamieszanie, mężczyźni umieszczają czempredzej kapelusze na konsolach, zadają sobie pytanie: Komu podać ramię? Czy krawat mój dobrze związany? Które miejsce zająć w szeregu? Wreszcie fraki pochylają się przed balowemi sukniemi i rozpoczyna się pochód. Na samym końcu idzie samotnie jeden z panów, który nie zdążył zapewnić sobie towarzyszki; za nim postępują lokaje. Z jakąż idą godnością! Jakże są piękne ich peruki pudrowane! Znam wielu ambasadorów lub ministrów, lecz stanowczo lokaje ci lepiej od nich wyglądają, powaga ich jest nieporównana. Ale zwłaszcza imponujące są

ich lądki arystokratyczne; za prawdziwie piękne lądki pobierają o sto franków więcej pensyi. Ta moda białych pończoch i trzewików ze sprzączkami przypomina piękne czasy Marly'ego i Wersalu. Niestety, gdyby nam tak kazano poskracać spodnie, ilużby z nas, zasuszonych mieszczuchów, opuchniętych, niezgrabnych, mogło pełnić służbę lokaja?

Panie siadają, układając fałdy sukien; panowie dyskretnie starają się wyczytać swoje nazwiska na kartkach włożonych w kieliszki i zajmują swoje miejsce z ukłonem. Na całej linii błyszczy bateria szklanek i butelek; przed każdym talerzem ustawiony jest mały batalion; kandelabry obrzucają białem światłem tę świetną zbrojownię; migocą wstążki, jedwabie i brylanty; z szerokiego wazonu wykwitają na środku stołu azalie i aruny o kwiatach atlasowych, rozlega się delikatny brzęk łyżek i półmisek, podobny do odgłosu gradu, uderzającego o szyby okien. Na jaki temat zacząć rozmowę z moją sąsiadką?

Siostrzeniec mój Anatol, który obiada tu po raz pierwszy, wygląda onieśmielony; zje napewno za wiele, po upływie kwadransa oczy będzie miał błyszczące, a policzki zaczerwienione; będzie się silił na dowcipy, a ostatecznie powie głupstwo. Drogi Anatolu, na ostatnim balu, po kilku minutach milczenia, spytałeś się swej danserki, uroczej i wiotkiej dziewczyny, którą w myśli przeznaczałem ci na żonę: „Czy pani mieszka w Chatou?“ — „Tak panie“. — „Jakaż to brzydka miejscowość“. Na tem skończyła się rozmowa. Siostrzeniec mój, jeżeli ktoś mówi mało, powinien przynajmniej coś mądrzejszego powiedzieć.

Ja czuję się w swoim żywiole. Od półmiska lub lampy przechodzę na temat nafty i solonego mięsa; opowiadam dwie lub trzy anegdotki i rozmowa toczy się lekko i swobodnie; przy szampanie opisuję kościste i wstydlive Amerykanki, obznajmione z Biblią, ekonomią polityczną i anatomią; porównywan je z memi słuchaczkami; w nagrodę otrzymuję uśmiech i ze spokojnem sumieniem przechodzę do fumoaru. Z pewnością sąsiadka moja powie, powracając do salonu: „Ten pan Graindorge, to trochę oryginal, ale bardzo miły.

Na pierwszym miejscu przy gospodyni siedzi ambasador. Drewniana, nieruchoma figura. Zauważyłem nieraz, że jest to właściwą cechą wielu dyplomatów. Nie bawi się, ani nudzi, siedzi bezmyślnie, biernie, jak urzędnik za biurkiem; myśl jego nie buja po manowcach, zajęty jest tem jedynie, aby nadać twarzy wyraz majestatyczny, a ciału pozycję jak najprostszą; nawet i tem się nie zajmuje, gdyż ciało i twarz nie potrzebuje się zmuszać do tego, co już stało się ich nawykniem.

Dusza nie gra tu żadnej roli; oswobodzona od wszelkiej troski, może nie istnieć wcale. Uśmiech gości stale na jego wargach majestatycznych, zmarszczki przecinają twarz, jakby z marmuru wykutą. Wspaniale wygląda przy stole lub kartach, z piersią pokrytą orderami; wspanialej jeszcze, gdy się kłania. W takiej chwili zadaje sobie pytanie, czemu nie kłania się ciągle; nie musi go to męczyć, zgina się i prostuje z precyzją automatu.

Dziś jest bardzo rozmowny. Pięknym, kwiecistym stylem rozprawia z bankierem, sąsiadem swoim,

o ogonach baranich, stanowiących doskonałą potrawę, bardzo poszukiwaną w Austrii i Ameryce, nie dosyć ocenianą we Francyi, która po wielu nieudanych próbach, znalazła umiejętnego wykonawcę w kucharzu pana Rothschilda.

Dama z lewej strony, prawdziwa paryżanka, niezadowolona z towarzystwa nudnego dyplomaty, zwraca się do drugiego sąsiada, młodego, dwudziestoczteroletniego człowieka. We włosach ma trzy rzędy pięknych perel; figurka śliczna i najgustowniejsza suknia na świecie. Nos trochę za długi; ale zęby bez zarzutu, czarne zaś oczy, pełne ognia, ożywiają całą osobę. Wyższość jej polega na szczerości. Lubi się bawić, żyć w wielkim świecie i szczerze to przyznaje. Dla niej życie rozpoczyna się dopiero wieczorem, o godzinie jedenastej. Dwa, trzy bale codziennie, pięć, sześć obiadów proszonych na tydzień, Opera, teatry, a w dodatku w godzinach popołudniowych spacer do Bois de Boulogne, lub wizyty, co nigdy nie wywołuje w niej zmęczenia. Rzekłbyś, statek pływający po pełnem morzu z rozwiniętymi żaglami podczas najpiękniejszej pogody. Niezdolna do hypokryzyi, nie zachwycą się muzyką i choć grywa trochę, wyśmiewa się sama ze swej gry na fortepianie. Nie rozumie Mozarta, ani Beethovena; Verdiego lub Rossiniego może słuchać przez dziesięć minut; nie pozuje na sentymentalną lub zapoznaną istotę. Jest typową Francuską z XVIII wieku, podobną do tej margrabiny, która przyjmując u siebie wielkiego wodza, zapytała, czy jest uprzejmy dla dam. Nie pochyła z przejściem i szas cunkiem głowy przed tem, co jest powszechnie szan-



nowane, ale każdej rzeczy dotyka sięz daleka, jakby końcem parasolki, przygląda jej się przez chwilę i z pogardliwym dąsem idzie dalej.

W polityce rozróżnia dwa stronnictwa: ludzi noszących białe rękawiczki i tych, co mają brudne ręce. Cudowną jest religia, ale wikaryusz jest tak źle wychowany! Nie piękniejszego nad enoty domowe, ale jak tu kobiecie światowej robić rachunki z kucharką? Malarstwo jest wielką sztuką; ale dla czego malarze mają zwykle drgające powieki i noszą okulary? Pan M. jest wielkim politykiem swego wieku; ale jest brzydki i gruby jak beczka. Dochodzi w tem tak daleko, że nie jest nawet próżną; nie drażni jej to, że towarzyszyki jej są dobrze ubrane, przeciwnie, sprawia jej przyjemność widok ładnej sukni: zazdrość i rywalizacja, to szpetne intruzy, nie mające przystępu do jej serca; umysł jej wesoly przypomina salę balową, pełną gwaru i jasnych, zmieniających się wciąż obrazów. Trzeba widzieć i słyszeć jak opowiada, chociażby nawet o najzwyklejszych rzeczach; tyle jest ożywienia w całej jej postaci, tyle zapалу w słowach, że zaczyna się odczuwać zadowolenie z życia. Jest mężatką od czterech lat. Na razie podróżowała z mężem po Renie i Włoszech, następnie trzeba było urządzać pałac, umeblować się, kupować powozy i konie; to zajęło dwa lata. Teraz bawi się mężem, jak piłką, nie dlatego, żeby była niedobłą, ale że jest dla niej zabawką wszystko to, co jej popadnie pod rękę. Utył i sapie chodząc, wyśmiewa się z niego, gdy po obiedzie zasypia; każe mu załatwiać sprawunki. Biedny człowiek kocha się w niej teraz szalenie, pa-

try jej w oczy i niepokoi się tem, że jest uprzejma dla wszystkich. To tak, jak ładny nóż damasceński, im jest ostrzejszy, im lepiej oprawny. tem głębiej wbije się w serce.

Dziś znęca się nad młodym kompozytorem. Nieszczęśliwy ten muzyk skomponował trzy nokturny; od tej chwili nie zaznał spokoju; nie odczuwa już smaku sarny i trufii; wino pije szklankami, sądząc, że to woda; chciałby jeno mówić o nokturnach. Ona rozmawia z nim o muzyce od samego początku obiadu; ale zręcznie unika nokturnów, zatrzymuje się nad brzegiem i patrzy na jego twarz ożywioną błyskiem nadziei, potem nagle powraca do ogólników. Z każdą chwilą staje się wymowniejszą, a on bardziej zgębionym. Przy szampa nie jest zrozpaczony. „Moje biedne nokturny.“ Wtedy ona zaczyna chwalić Gounoda.

Kompozytor obciera czoło chustką i na pociechę każe sobie nalać szampana.

Po pierwszym daniu nastąpiła krótka pauza. Powszechne uczucie zadowolenia ogarnia, niby woń, wszystkie dusze. Nikt nie jest już głodny, ale każdy czuje, że jeść jeszcze może. Żołądek jest poniekąd sumieniem ciała i kiedy jest zadowolony, to i reszta organów doznaje tych samych wrażeń. Wszyscy rozmawiają żywo, uśmiechają się, zdają się być szczęśliwi.

Nie myśląc nawet o tem, nie robiąc żadnych spostrzeżeń, można zapatrzeć się na ładną główkę, na brylanty w różowych uszkach, lub róże, zdobiące jasne włosy. Jest to uczta prawdziwa, uroczysta

ceremonia światowa, wonny zaś zapach potraw unosi się ku górze, jak dym przed ołtarzem ofiarnym.

Na lewo siedzi właściciel ziemski, były finansista, obecnie deputowany, który osiadł na ławie izby jak foka. Smakosz — jakich mało, lubi zwłaszcza pasztet z ryb; ma wspaniałe ananasy w swoich oranżeryach i rozdaje je przyjaciółom. Sąsiad jego, młody referendarz, stara się go zabawić, zjednać sobie, wciągając w rozmowę o polityce i literaturze. Niechętnie odpowiada, a zmarszczone jego czoło zdaje się mówić: „To bydlę nie pozwala mi ocenić dobroci wina.“ Kobieta czterdziestoletnia, melancholijna. Żadnego zajęcia i nos jej zaczyna już być czerwony.

Cóż to za broda wygolona i czarne faworyty przy końcu stołu! Ach to pan de D...—wszędzie go pełno.

Zastępca profesora w szkole prawa, wysoki, chudy, wiecznie zgięty, w ukłonie, wszystkim się przedstawia, wszędzie bywa, skończony typ intryganta. Bez cienia talentu, ani do pióra, ani do rozmowy, robi jednakże karierę. Bywa tu tak, jak i w dziesięciu innych domach, kłania się kobietom, zamienia kilka zdań banalnych z mężczyznami; przyszedł się pokazać i wszyscy go widzą. Bezwiednie jego długa, wybladła twarz wbija się ludziom w pamięć. Wszyscy sądzą go podług jego istotnej wartości, a mimo to jego nazwisko machinalnie nasuwa się pod pióro pani domu, rozsyłającej zaproszenia na obiad. Ministrowi, wahającemu się w wyborze pomiędzy dwoma kandydatami, osoba jego przy-

dzie na myśl; jest to człowiek, o którym mówić nie będą; można mu dać urząd bez obawy kompromitacji. Jest cierpliwy, umie uśmiechać się uprzejmie i wytrwale, umie przyglądać się obrazom, będzie tańczył z osamotnionymi pannami; strój jego jest bez zarzutu. Bierz z niego przykład, drogi Anatolu, to przyszedł członek Akademii.

Jedna z ładniejszych kobiet Paryża, rysy klasyczne, suknie zawsze według ostatniej mody; ale jest to tylko lalka salonowa, a mąż dandys ograniczony. Zdają się być stworzeni dla siebie; myślą tylko o teatrze, balach, wizytach, rozsyłają przeszło siedemset biletów z życzeniami noworocznymi. Od ciągłych uśmiechów zarysowały się już lekkie zmarszczki około jej ust i oczu, mimo, że ma zaledwie lat dwadzieścia osiem. Kiedy się zbliżam do niej, wiem z góry, jaki ruch wykona, co odpowie na moje powitanie. Pociągnijcie sznurek pozytywki: wiecie z góry, jaką wygra melodyę.

Ładny, wesoły kanarku, skaczący pośród złoconej klatki przed miseczką pełną ziarna, piórka twe są gładkie, a lśniące, śliczne twe łapki poruszają się przez cały dzień bez wytechnienia, dziobek twój zgrabnie chwyta ziarenka wytwornego siemienia, gardziółko ma swój repertuar dźwięków, pieszczotliwych i ostrych, a jednak kupiłbym cię za sto franków razem z klatką; ale wolałbym cię mieć wypchanym, aniżeli żywym.

Zdaje mi się, że na końcu stołu słyszę śmiechy tłumione. Młody attaché ambasady, siedząc obok autorki angielskiej, nader moralnej osoby, usiłuje stawiać w obronie romansów francuskich, którym ona zarzuca, że szerzą zepsucie. Po kilku minutach rozmowy mówi jej wreszcie z najniewinniejszą miną: „Miss Mathevs, pani nas sądzi za surowo, a to dlatego, że pani za mało zna naszą literaturę. Jeżeli pani pozwoli, przysłę jej jutro powieść francuską, świeżo wydaną, sławną, która jest jednym z najgłębszych i najpożyteczniejszych utworów nowoczesnych. Napisał ją człowiek, który był w Ziemi Świętej, który tam nawet raniony został przez niewiernych, a teraz żyje, jak mnich, jak asceta niedaleko Rouen, oddając się pracy całodziennej. Jest bardzo uczony i wydał nawet dzieło archeologiczne o Kartaginie. Powinien już być członkiem Akademii; prawdopodobnie zostanie następcą Dupanloupa. Nietylko jest genialnym, ale i sumiennym człowiekiem; jeżeli ma jaką wadę, to chyba tylko, że jest zanadto pracowity i ścisły. Celem jego jest ostrzedz młode kobiety przed niebezpieczeństwem próżniactwa, ciekawości niezdrowej i złych książek; nazywa się Gustaw Flaubert, dzieło zaś jego nosi tytuł: „Pani Bovary, czyli skutki złego prowadzenia się.“

Miss Mathevs rozpogodziła twarz: „Niech mi pan powie nazwisko wydawcy; przetłómaczę książkę natychmiast po powrocie do Londynu, a słowa-rzyszenie Wesleyjskie szerzenia dobrych zasad rozdać je będzie bezpłatnie.“

Po raz drugi nalewają szampana, biesiadnicy stają się swobodniejsi, kilku z nich opiera się zlekka o stół, rozmowy zaczynają być coraz żywsze, poufalsze; tworzą się grupy, złożone z dwóch lub trzech osób. Lokaje bezczynnie stoją, trzymając w ręku serwety i niecierpliwie oczekując końca obiadu, pośród zaś ogólnego gwaru dochodzą następujące urywki rozmów. „Gounod nie jest geniuszem, jest to Niemiec, obłany sosem francuskim.“ „Niech pan kupuje akcje Graisscone, zaczynają spadać.“ „Ogon barani jada się tylko z papryką.“ „Jednego jeszcze mamy poetę współczesnego, Le comte de Lisle.“ „Nie przyjęli Henryki B. do Komedyi Francuskiej, za wielu ma wielbicieli w orkiestrze.“ „Nie mówcie mi nigdy o Meyerberze, jest istotnie geniuszem, ale chyba cierpliwości.“ „Jak pani do twarzy w tych wstążkach! Ale trzeba mieć pani figurę, żeby móżdż nosić takie szerokie wstążki.“ „Nie powinienem był jeść lodów, będę miał kurcze żołądka.“ „Pan Thiers jest najlepszym mówcą swego wieku.“ „Jak p. Scribe pierwszym komedyopisarzem.“ „Jak p. Auber pierwszym malarzem.“ „Zaczynam być ociężały, chodźmy wypalić papierosa.“

ROZDZIAŁ XVI.

ŚLUB.

Godzina dziesiąta; panna młoda już ubrana, zajęła wraz z matką miejsce u drzwi salonu; paru bliższych krewnych już przybyło. Lokaje nałożyli rękawiczki i gotowi są do oznajmiania gości.

Znam dobrze mieszkanie: wszystko w niem przewrócono do góry nogami; dwa dni pracowali tapiczerzy; kupiono obicia, wynajęto meble, stare rupiecie pochowano w alkowach i szafach. Mały salonik jest odświeżony, gabinet ojca zamieniony na trzeci salon; dwa pokoje sypialne są także otwarte dla gości; łóżka, okryte jasnym jedwabiem, ładnie wyglądają w tem przybraniu z koronek. Miękkie fotele porozstawiane są wszędzie; będę mógł zdrzemnąć się w nich swobodnie.

Wszystko jest tak, jak być powinno. Zresztą małżeństwo jest dobrane; na początek dwadzieścia

osiem tysięcy dochodu, a drugie tyle w przyszłości; dom zacny, stosunki dobre; jest to zamożna burżuazya: narzeczony jeździ dobrze konno, nosi dużą brodę, posiada kilka folwarków, jest członkiem kilku komitetów i pragnie zostać deputowanym; kłania się układnie; wraz z teściem robi honory domu, a co dziesięć minut zamienia parę słów z narzeczoną; nie jest zanadto serdeczny, ani za sztywny. Z ugrzecznieniem i uśmiechnięty wprowadza panie do saloniku, gdzie majestatyczny notaryusz o cerze różowej z pomocnikiem, jak gdyby z żurnalu wyjętym, podają im pióro do podpisania aktu.

Słychać turkot powozów, zatrzymujących się nagle; zrazu pojedynczo, potem po kilka naraz. Szyby drżą w oknach, stangreci krzyczą. Panie w kapturkach na głowie wchodzą po schodach, a doszedłszy do przedpokoju, przeglądają się w lustrze, poprawiają suknie i przybierają z góry ułożony wyraz twarzy. Pani S. stara się o uśmiech naturalny; pani B. posuwa się wolno i majestatycznie. Panna Ludwika D., szczupła i nerwowa, kryje się przed tłumem za plecami matki. Niektóre wyglądają jakby szły do szturm, inne jak żołnierze powracający z wygranej bitwy. Cały ich charakter odzwierciedla się w tej przybranej postawie.

Życzenia i pocałunki bez końca. Narzeczona i jej matka; mniej więcej co półtorej minuty składają ukłony głębokie. Salony napelniają się; białe ramiona połyskują na tle aksamitnych kanap, kwiaty we włosach chwieją się przy każdym ruchu głowy; sznur rozmów zlewa się z szelestem jedwabi; ludzie poważni, ozdobieni krzyżami i orderami, prze-

chodzą z miną surową i zrezygnowaną, właściwą ich wiekowi i stanowisku. Pan młody, wraz z teściem, powtarzają po raz setny: „Jak to uprzejmie z pańskiej strony, że pan o nas nie zapomniał!“ A wzamian słyszy po raz setny: „Przyjmij moje życzenia serdeczne, szczęśliwy śmiertelniku!“ Uściski rąk, czuły wyraz twarzy. Z przyległego pokoju dochodzi zgrzyt pióra notaryusza. Panie udają się do sypialnego pokoju, gdzie wystawione są klejnoty na białym aksamicie. Robi się gorąco i przychodzą mi na myśl lody. Ojciec szepcze w duchu następujący monolog: wieczór ten kosztuje mnie tysiąc pięćset franków; kamasze mam za ciasne; o wiele przyjemniej spędziłbym wieczór w klubie; ale dziś jest to dzień popisu. Mogę być dumny ze swych gości! Znajduje się tu marszałek Francji, dwóch prezydentów, dziesięciu komandorów, przeszło tuzin najautentyczniejszych hrabiów i książąt. Wszystko to dla dobra mojej córki; zajmuję w świecie stanowisko i daję tego dowody. Jeśli zięć mój będzie potrzebował miejsca, jeżeli ja zapragnę wyczytać swoje nazwisko w *Monitorze*, zostać dyrektorem jakiego towarzystwa, przyjdzie mi to z łatwością, wody bowiem spływają zawsze do rzeki.

Na stronie matka panny młodej rzuca urywane zdania: „Joasia jest zanadto ściśnięta.—Boże mój! nie jest dość uprzejma dla prezydentowej, nie lubi bowiem tej złościcy.—Joasiu, moje dziecko, chodzi tu o wybór twego męża“.

Ach, lodów nie przynoszą.—„Joasiu, rozdarłaś rękawiczkę.—Lampa filuje.—Joasiu, nie jesteś dość wesola.—Suknia pękła mi na plecach“.

Powszechny chór panien *sotto voce*. „Wolałabym blondyna.—Ja nie śmiałabym rozmawiać tak z moim przyszłym mężem.—Pięknie wygląda jego czerwona wstążeczka.—Ma tylko jedną, a brat mój ma trzy; czerwoną, żółtą i różnokolorową.—Czy ona pierwsza akt podpisze? Mówią, że to przynosi szczęście, jest się wtedy panią w domu.—Ach, mój Boże! prawdziwe brylanty, jaki śliczny krzyżyk i kolczyki staroświeckie! Ma zręczną figurę, ale wolę odcień moich włosów.—Ten szary kolor jest ładny; ale rękawy powinny być więcej bufiaste.—Czy przyjmować będzie we czwartki?—Joasiu, moja najdroższa, pozwól się uściskać“.

II.

Jestem starym przyjacielem domu, Joasia przeto przedstawiła mi swego męża. Przypatrywałem się jej ruchom i obejściu; jest to prawdziwa paryżanka i kobieta światowa. Wdzięk ten w układzie jest jej wrodzony, a wychowanie wydoskonalilo ją tylko w tym kierunku. Dziwne jest w niej połączenie skromności i pewności siebie. Nie można powiedzieć, żeby była bardzo inteligentna; inteligencja jej przejawia się głównie w ruchach, w wyborze sukni i kwiatów zdobiących jej włosy. Zresztą pannom nie wolno mieć zbyt wiele dowcipu; w jej świecie dozwolone jest to dopiero trzydziestoletnim mężatkom. Ale umie prowadzić rozmowę, potrafi gości swych zabawić i rzucić od czasu do czasu zręczne słówko, które wzbudza ogólne zainteresowanie. Nie trzeba szukać głębokości myśli w rozmowie salono-

wej; powinna być żywą, dowcipną, oryginalną; powaga byłaby tu nie na miejscu. Pewny jestem, że z dwustu zebranych osób żadna nie powiedziała ani jednego słowa, nie miała jednej myśli godnej zapamiętania.

Urok polega przedewszystkiem na modulacji głosu i uprzejmym uśmiechu. Joasia powiedziała mi „dobra noc“, do czego nie potrzeba wielkiego natężenia umysłu, ale dźwięk jej głosu był taki słodki, skłoniła mi się tak wdzięcznie, szeleszcząc jedwabiami, że został mi w pamięci obraz jaknajbardziej uroczy. To wystarcza; nikt od niej nie żąda głębokich myśli; czy zajmuje się kto pojęciami baletniczy?

To wszystko jest u niej dziedziczne; my, mężyczni, obciążamy sobie głowy łaciną i matematyką, wielkie prostokątne pojęcia układają się w naszych mózgach, jak w przegródkach i co za tem idzie, jesteśmy ociężaלי i silni, czyni zaś nasze i sądy mają sztywność i wagę maszyny. Co do nich, to geografia i katechizm spływają jeno po powierzchni ich umysłu, jak deszcz rzęśisty po jedwabnym parasolu; a pod tą zasłoną kształtuje się ich prawdziwa istota, złożona z wrażeń, sympatyj niewytłómaczonych, wstrętów i pragnień nieokreślonych. Tworzy to całość harmonijną o odcieniach delikatnych i subtelnych. Jesteśmy poprostu zdumieni, jakim sposobem instrument tak źle używany, może mieć głos tak dźwięczny i czysty. Z drugiej strony, w tej sferze zwłaszcza, głos ten jest słaby, a fala dźwięków nader ograniczona. Żadnych głębszych lub poważniejszych wrażeń. Rozmawia swobodnie z młodym człowie-

kiem, który jutro będzie jej mężem; robi honory domu, rzekłbyś, że to jest dwuletnie małżeństwo. Nie potrzebuje nawet zmuszać się do tej swobody i wesołości—małżeństwo jest dla niej rodzajem miłego spaceru w większym powozie. Jest zupełnie zadowolona, gdyż stało się zadość wymaganiom świata, mąż jej ubiera się dobrze, pochodzi z dobrej rodziny, dobrze jeździ konno, jest ugrzecznony; spędzać będą cztery miesiące na rok w Paryżu, osiem w wiejskiej rezydencji, do tego dodać trzeba bale, stroje, wyprawę za dwadzieścia tysięcy franków. Daleką jest od wewnętrznego głuchego niepokoju, od myśli, że życie jej może być zwichnięte lub osiągnięty zostanie ideał; rozmawia ze mną o swem uczesaniu, dopytuje się o hotele w Nizzy etc. Śliczna lalka, z której dumnym można być w świecie, uprzejma, rozbudzająca poczucie dobrego smaku, wykwintem i świeżością swego stroju. Oto co znajdzie narzeczony, a dalibóg, byłby w niemalym kłopotcie, znajdując coś więcej.

III.

Otyły szwajcar chodzi, dzwoniąc laską.

Wszystkie świece są zapalone; monstrancja i ołtarz jaśnieją pośród kolumn; kapy i stuły, bogato złotem haftowane, rzucają tysiące iskier; z obu stron ołtarza dwa freski Flandrina przedstawiają pochód poważnych postaci. Na przodzie, na fotelach z czerwonego aksamitu zasiedli dziadkowie, panna młoda podobna do białego zjawiska i jej matka w koronkach godnych zdobić szatę królowej. Wszyst-

ko mieni się i błyszczy. Głos organu płynie, opadając w miękkich modulacjach, to tkliwy, to poważny, przechodzący niekiedy w lekkie pasaże, ulatujące jak rój świetlnych pszczoł, rozproszonych po pogodnym eterze.

Bardzo piękna opera, podobna do piątego aktu „Roberta Dyabła”; tylko, że Robert Dyabeł jest bardziej religijny. W krajach łacińskich, we Francyi, w Paryżu, wszystko przybiera charakter światowej uroczystości.

Kazanie wygłoszone jest przez księdza Belamy, jednego z najlepszych kaznodziei. Pięknie zaokrąglone okresy, pochwały dla obu rodzin. Zwracając się do matki, wysławia jej umysł, połączony z zaletami serca (napisała broszurę o stowarzyszeniu „Świętego dzieciństwa”). Podnosi zalety ojca, który zatknął sztandar Francyi w dalekich krajach, gdzie już od sześciu wieków nie powiewał. (Był pułkownikiem w Afryce). Pochwały dla nowożeńców, wszystko to wypowiedziane było stylem kwiecistym, zgodnym z prawidłami retoryki, ze zmianami i modulacjami głosu. Był tak z siebie zadowolony, jak tenor po odśpiewanej arii.

Jeden z gości, opowiadając o tem kazaniu, streścił swoje wrażenie w tych słowach: „Ojciec Belamy miał nadzwyczajne powodzenie”.

IV.

Młody chłopczyk i mała dziewczynka, wytworzone ubrani w sukienki aksamitne, kwestują; wszyscy się do nich uśmiechają. Stanowi to ładny obrazek.

V.

Rozmowa w kościele: „Janinka jest ładna, ale pan młody ma twarz bez wyrazu. Zanadto jest uroczysty, co śmiesznie wygląda.—Chciałbym pana widzieć na jego miejscu. — Czy masz pan drobne pieniądze?—Proszę o kilka sztuk, bo mam samo złoto, a do rodziny nie należę. — Dzień dobry! dzień dobry! — A i pan tutaj? dla kogo, dla pana młodego, czy dla panny młodej? Dla pana młodego, ale miłą będzie miał żonę.—Ja wolę być w bocznych nawach, można przynajmniej chodzić. — Lubi pan Flandriana?—Tak, ten wielki fresk na prawo; reszta nie nie warta, jest to bigos etruski, z pretensjami do tematów biblijnych.—Ach, Bernard, czemu tak późno? Jest to nieprzyzwoicie.—Nie mów mi pan o tem, co do urlopów mój pułkownik jest wprost niemożliwy. — Panna młoda modli się z książki dla nadania sobie kontenansu.—Słyszysz, są i śpiewy; ten ślub kosztuje tysiąc dwieście franków.—Tysiąc pięćset, z powodu dywanu na schodach przed kościołem. — Czy pan słyszał panią Lagrange? — Dobrze śpiewa! bardzo stylowa; ale szpetną ma budowę.—Poważny pan Varillon przychodzi na samym końcu, w białym krawacie i z grubą księgą pod pachą.—Idę na wykład, wstąpiłem tylko na chwilę, aby uściśnąć dłoń ojcu panny młodej; jest to najważniejsze.—Chodźmy do zakrystyi.

Tłok, jak przy kasie teatralnej. — Mówił pan o mnie ze swoim szefem?—Nie jeszcze, gdyż bydlę to wyjechało.—Idźmy dalej! Gdzież jest ten ojciec?—Tam, wśród ciżby, tam, gdzie tak ściskają się za rękę.

ce.—Najszczerze życzenia, kochany panie.—Jakże mi przyjemnie pana widzieć; serdecznie dziękuję.—Skończyłeś, Bernardzie? Ja już odchodzę. — (szwajcar): Tędy, panowie, korytarzem na lewo, na lewo (pif! paf!) Panie będą łaskawe iść naprzód; panowie w tamtą stronę. Pif! paf! bum! Ach, oddycham na koniec świeżem powietrzem. Dzięki ci, Boże, że to już koniec. Biedaczka oddała sto pięćdziesiąt ukłonnów i tyleż razy przyłożyła swoją buzię do starych policzków swych krewnych.—Żebracy, lokaje, szereg powozów, ulicznicy, rzekłbyś, że wychodzisz z opery włoskiej.

ROZDZIAŁ XVII.

PIERWSZA KOCHANKA.

Wątroba dokuczała mi tej zimy, oto są skutki podróży po Indyach. Musiałem siedzieć w pokoju i, w braku czegoś innego, studiowałem świat, jakim go malują. Miałem na stole komedye Emila Augiera i Aleksandra Dumasa syna. Mają dobrze, to ich fach.

U nich, jak i wszędzie, dwie role są wybitne: kochanek i kochanka. Co prawda, obie te osoby z urzędu godne są miłości, czyli, o ile można, doskonałe. Zobaczmy więc, co się nazywa doskonałością we Francyi w roku pańskim 1865 i zaczniemy od kobiety.

Dawniej rzecz była nadzwyczaj prostą. Zamykało się dziewczynkę do pudelka i trzymało się ją pod kluczem do piętnastu lat. W tym czasie wypuszczano ją na wolność, lecz pod osłoną na wpół jeszcze feodalnej spódnicy matczynej; ojciec, powa-

zny jak szwajcar w katedrze, stał tuż na straży. Ona spuszczała oczy i trzymała się prosto; to były jej pierwsze obowiązki. Opóźnić przebudzenie się myśli i uczucia, utrzymać duszę w pierwotnej czystości i nieświadomości, wpoić posłuszeństwo i milczenie; oto były jedyne zadania wychowania. Widuję od czasu do czasu dwie starsze panie, które mi opowiadały dzieje swego dzieciństwa. Wychowywały się w Paryżu, lecz po za kratami i to szczelnie osłoniętymi firanką; nie wychodziły wcale, nie знаły ani teatru, ani świata. Od czasu do czasu, o dziesiątej zrana, pod opieką zaufanego sługi, guwernantka pokazywała im ogród botaniczny. Kiedy wyjeżdżały na wieś, powóz zajeżdżał po nie wewnątrz dziedzińca pałacowego; raz na miejscu, nie wolno im było biegać po parku; powinny były trzymać się parterów kwiatowych pod oknami, nie wybiegać po za dwa duże wazony na tarasie. W salonie miały swoje miejsce przy krosienkach pod oknem; jeśli kto się z nimi witał, miały rozkaz uklonąć się i pójść sobie. O trzy kwadranse na ósmą zaczynały mówić dobranoc, w formie pełnej uszanowania, najprzód dziadkowi, potem matce, potem wujowi, наконец ciotkom; o ósmej ceremonia była skończona, a o kwadrans na dziewiątą były w łóżku. W dzień haftowały, szyły dla ubogich, śpiewały kantyczki, karmiły ptaszki w klatkach, czytały kazania Berquin'a, bawiły się z białą kotką, którą nazywały „paniusia droga“ i raz na miesiąc oczekiwały odwiedzin przyjaciółki, wprawdzie nie szlachcianki, lecz ze starej rodziny mieszczańskiej, której, wobec jej zdolności i przy ogólnem rozluźnieniu obyczajów, pozwolono

własnoręcznie przepisywać „Szkice Moralności“ Nicole'a.

Proszę sobie wyobrazić podobne osoby na scenie; dodać im trochę sprytu wrodzonego, trochę wrodzonej dobroci, właściwej tym, co jeszcze nie żyli, będzie to Agnieszka z ułożeniem światowem, i to najlepszem, bo niewyuczonem, lecz wpojonem przez codzienny przykład w rodzinie. Czy jest coś więcej uroczego jak młoda mniszka, która jest miłą w obejściu i umie się uśmiechać?

Nieśmiałość, rumieńce, mimowolne odruchy, powściągane przez wytworną i nieprzerwaną przyzwyczajoną form, nieznaczne starcie się myśli i namiętności, które po raz pierwszy na wierzch się wydobywają, przekształcenie się dziecka, które w jednej chwili, wskutek jednego słowa, staje się kobietą; spojrzenie ukradkiem rzucone, oczy zdziwione, gotowe do płaczu, rozkoszny niepokój wewnętrzny; głuche wrzenie istoty nerwowej, gorącej, delikatnej, w której myśli jak snopy iskier wybuchają; proszę się przyjrzeć temu wszystkiemu w pisarzach i niektórych malarzach XVIII stulecia, w „Maryannie“ Marivaux, w sztychach Moreau. Skromne minki, sprytne buziaki, miłuchne rączki w gniazdkach koronkowych, śliczne nóżki na wysokich korkach, stanniki, które objąć można rękami, ukłony prześliczne i poprawne, figlarność ukryta pod pozorami bez zarzutu, ciekawość i zachcianki, które jeszcze lękają się własnego istnienia, a wkrótce śmiało dadzą się poznać; jest to wino szampańskie w butelkach, korek zabito mocno młotkiem duchownym. Lecz jak tam pod szkłem iskrzący się napój kipi i śmieje się!

Oto prawdziwy napój Francuza, i każdy widzi na parterze, choć widzi pieczęć jeszcze nietkniętą, podstawia kielich, nadstawia usta i czuje już jak mu wino bije do głowy.

Korek wyleciał; pękł on w r. 89-ym wraz z wielu innemi rzeczami i trzeba było szukać nowych typów. Zadanie nie łatwe; jeden z moich przyjaciół, autor dramatyczny, przyznał mi się, że rady sobie dać nie może. Łatwo znaleźć w teatrze piękne oczy, świeżą buzię, ładny stanik; można to też ładnie ubrać i uczesać. Lecz co w usta włożyć takiej lalce? Dowcipy zepsutego dziecka, wymuszenie podlotka, umizgi gryzетки, czasem jakie ładne słówko z pocziwego serduszka płynące, lub albumową sentymentalność; po za tem nic. Dawne wychowanie zniknęło, nowe jeszcze się nie zaczęło, wahają się one pomiędzy resztkami przeszłości i zarysowującą się przyszłością, na wpół wyzywające, a na wpół nieśmiałe, ani dziewice, ani żony, na poły mężkie, na poły kobiece, ze wspomnieniami pensyonarek i zachciankami aktorek. Nieszczęśliwy autor dramatyczny zadaje sobie pytanie: „Muszę na końcu sztuki jaką spódnice zamaż wydać; lecz kogo ja też w tej spódnicy ulokuję?”

Małego huzarka, i ma on na to sto doskonałych powodów.

Po 1-sze: temperament. Dziewięć razy na dieśięć Francuzka jest w gruncie żywa i niesforna; z instynktu są one ruchliwe i oschłe, czynne i stanowcze, skore do wyrokowania, ufne we własny sąd, niezdolne do uznania cudzej wyższości. W krajach

germańskich kobieta zdaje się należeć do innej rasy niż mężczyzna, jest tylko jego dopełnieniem; tutaj nic podobnego: tu jest ona mężczyzną o istocie wytwornej i podniosłej, z nerwami drażliwszemi niż u tamtego, któremu gdy potrzeba, bywa ona towarzyszem, zawsze jest mu równą, a gdy może, staje się jego panem.

Teraz zobaczmy, o ile współczesne wychowanie wzmacnia tego ducha samowoli i indywidualności. Ojciec i matka pobrali się z rozsądku, a więc na zimno, i nierówności obu charakterów ścierały się z sobą, jak dwie bryły lodu, nie zlewając się, a wywołując nieprzerwane uczucie bólu; dręczyli się nawzajem, później znosili się przez rezygnację, nakoniec z przyzwyczajenia. Gdy przybędą dzieci, dajmy na to dziewczynka, długo tłumiona potrzeba kochania wylewa się całkowicie w to nowe łóżysko; ona jest rumiana i jasnowłosa; dawne marzenia o wdzięku i idealnej piękności, poezya gorąco i na próżno ukochana przez młodzieńca, wszystko to na nowo budzi się w ojcu i teraz nic nie kała i nie niweczy jego marzeń. Ona, aby nie być niewdzięczną, powinna tylko być szczęśliwą; nie może ona niczego odmówić i w niczem się narazić, bo się niczego od niej nie wymaga, a wszystko się jej daje. To młody żrebak puszczonej na paszę: „Jedz, moje dziecko; jaka ty pocziwa, że tak dobrze zajadasz!” Jej szaleństwa, to weselość, jej psoty, to wdzięk; czy jest co ładniejszego jak żrebak, gdy wierzga? Gdy dorosnie, skacze przez płoty, robi szkody w zbożu, ciąga za sobą starego, wymęczonego ojca. „Mój oj-

ciec i ja— powiada taki rozbrykany urwis — robimy wszystko, co ja chcę“ ¹⁾).

Oto wprowadzają ją w świat. Od pierwszego dnia, o ile nie jest zbyt głupią, znajduje się ona u szczytu; mężczyzna zasłużony po piętnastu latach pracy nie ma takiego stanowiska. Potrzebowała się tylko ukazać, aby być uznaną za królową; młodzież nadskakuje, kobiety trzydziestoletnie niepokoją się; komplementa brzęczą jak roje złotych muszek. Jedna z moich przyjaciółek opowiadała mi, że po pierwszym swoim balu w najlepszej wierze miała się za cudo. Tyle pochlebców, tyle nadskakiwań! Skutek tego widzimy na panujących: z łatwością dopuszczają oni, że przeznaczeniem rodzaju ludzkiego jest wytrzepywać im meble i że słońce jest lampą, która się sama podkręca, jedynie w celu, aby im przyświecać. A pamiętajmy, że moja dziewczynka ma dobre powody, aby się za bóstwo uważać, powody w gotówce; wie jaki ma posag i przy swej bystrości umysłu oceniła odrazu małżeństwo i kandydatów do niego. „Turcy kupują żony, my kupujemy mężów... Niech mój mąż nie będzie krępującym w domu i śmiesznym po za domem, a z reszty go kwituję“ ²⁾).

Wogóle, jeżeli za mąż wychodzi, to dlatego, że dla dziewczyny innego losu niema. Mężczyzna jest jej potrzebny do wyjścia na ulicę, do podróży; jest to niezbędny sługa, coś jakby szambelan, rządcą,

¹⁾ Przyjaciół kobiet.

²⁾ Piękne małżeństwo.

przyzwoitka. Zapewne „być mężczyzną byłoby najmilej“ Nie mogąc nim zostać, nabywa się mężczyznę. Placi się odpowiednią cenę, aby był przyzwoitym, okazałym; on się zobowiązuje prowadzić ją pod rękę; suknia i frak razem się szyją i z tego zetknięcia spódnica nabywa prawa mężkie.

Zgrabne buty, szamerowany spencer, spodnie, kapelusz, laska, pas i mężkie rękawiczki, czegoż jej jeszcze brakuje, aby być huzarem? Może sposób obejścia zuchowaty? Ależ ma go, umie się bronić, a czasem i zaczepić, dotrzymuje placu prawdziwym mężczyznom, ćwiczy się w walce na słowa i odważa się na starcia dwuznaczne, w których próżność jej święci tryumfy, a z kobiecości strzępy pozostają. Może znajomość świata? Bywa przecież na Corso, na wyścigach, w teatrze; z rozmów aż nadto swobodnych poznała Magdalenki; z wyjątkiem powieści fizyologicznych, zna naszą literaturę; po za niektórymi szczegółami fizyologicznymi zna nasze życie. Może przyzwyczajenie do rozkazywania i przewożenia? Trzy razy na tydzień ojciec jej naciąga wążki butynki, a matka śpi na ławeczce z otwartymi oczami, aby ona mogła się wytańczyć. Z wyżyn swego posagu patrzy na przesuających się konkurentów i kpi z nich. „Miłość to pochlebstwo o z którego tylko połowę biorę na swój rachunek; wiem, że moja osoba i mój posag stanowią wcale powabną całość“ ¹⁾. Wogóle widziała ona mężczyzn w paskudnej postawie: na klęczkach przed workiem

¹⁾ Piękne małżeństwo.

dukatów i dlatego chętnie smaga ich szpicrutą. Wojownicza, z pewnym zasobem wiedzy, rozkazująca i sceptyczna, widzimy więc, że nic jej nie brakuje, aby wstąpić do pułku.

W pułku tym jest kilka kompanij i tu idźmy po porządku:

Panna Herminia Sternay ¹⁾. Ta jest córką generała i z biedy mogłaby ojca zastąpić; posiada zimną krew i stanowczość dowódcy korpusu. Chce ją przestraszyć, aby ją od ukochanego człowieka odciągnąć. „Ja się nigdy nie przestraszam, wszak ciotka o tem wie dobrze“. Kiedy dumna i rozkazująca babka wypytuje ją, ona odpowiada z pewnością siebie, z odcieniem spokojnej ironii. Kiedy za karę odsyłają ją do klasztoru, ona tam „je, pije, śpi, gada i śmieje się z koleżankami, jak za dawnych czasów“. Kiedy po dziesięciu miesiącach spotyka w obecności rodziców ukochanego człowieka, wyciąga ku niemu rękę, nazywa go po imieniu i bynajmniej nie miesza się wobec wykrzykników babki.

— Podajemy sobie ręce przy wszystkich i z pełnem zaufaniem, i to wydaje mi się przywoitszem, niż czekać na sposobność, aby móżd pocichu porozumieć się gdzieś w kącie.

— Czy można wiedzieć, jakie masz zamiary?

— I owszem, babuniu; gdyby się mnie o nie wcześniej zapytano, byłabym je wcześniej powiedziała. Mam zamiar wyjść za pana Jakóba Vignot, ponieważ go zawsze kocham... Do tej chwili babu-

¹⁾ Syn naturalny.

nia mnie zapewne odeśle do klasztoru, gdzie byłam jeszcze dzisiaj rano, i może będzie to bardzo dobrze; bo z jednej strony byłoby dla babuni nieprzyjemnem mieć wciąż przy sobie wnuczkę tak nieposłuszną jak ja, co do mnie zaś, jest to miejsce, gdziebym najchętniej pozostawała *do skończenia dwudziestu i jeden lat*, bo mam wielką ochotę naučenja się wielu pożytecznych rzeczy, których jeszcze nie umiem.

Z tego widać, że ma ona dobrą głowę i że zna prawo. Siedząc w klasztorze obmyśliła dobrze potrzeby Jakóba; znalazła, że jemu potrzebna jest żona zdrowa, nie bojąca się morza, zdalna na wywóz i do konsulatów i, zważywszy wszystko, powiada mu:

— Ja się dobrze zastanowiłam i powtarzam ci, że według mnie jestem właśnie tą żoną, której ci potrzeba.

Wsadziłem ją do huzarów, ale zdaje mi się, że zdalaby się i do kirasyerów.

Panna Matylka Durien ¹⁾, lat piętnaście, lecz nad wiek rozwinięta, o trzeźwym rozsądku, praktyczna i dojrzała, jak głowa rodziny. Kocha swego kuzyna, mówi mu to w oczy, a gdy kuzynek wymyka się frazesami, powiada mu:

— Co? poezya! nie, stanowczo, nie kochasz mnie, nie mówmy o tem więcej. Nie odgrążam się wcale, że się zabiję, lub że wstąpię do klasztoru, lub nawet, że nigdy zamaż nie wyjdę; przeciwnie, zrobie wszystko, aby o tobie zapomnieć; ale chcę, aby

¹⁾ Kwestya pieniężna.

nasza rozmowa, która mieć będzie duży wpływ na moje życie, i na twoje wpłynęła.

I rysuje przed nim cały plan postępowania, radzi mu wziąć się do czegoś, robić majątek, aby bez oglądania się na pieniądze, móżdż poślubić tę, którą pokocha. On poświęca się rolnictwu. Aby móżdż go rozumieć, ona czytuje grube dzieła rolnicze i korzysta z nich tak, że jest w stanie wytłómaczyć najlepsze wyniki nawożenia dotychczas otrzymane, różnicę gruntów krzemienych, gdzie jest dużo kamieni, od gruntów wapiennych, zawierających dużo wapna, a czasem i magnezu i t. d. W tym czasie, wskutek nagłych zmian, pozwalają jej wyjść za kuzyna; ale przekonawszy się, że ten kuzyn kocha inną, ustępuje go tamtej, i w śliczny sposób, z nieporównaną zręcznością i stanowczością, wykonywa nad sobą operację, polegającą na wyrwaniu sobie serca. Zachwycające dziecko! Jak ona w tym wieku włada lancetem! Zaciągnąłem ją do huzarów, lecz chyba jako felczera pułkowego.

Brakuje nam muzykantów. Na szczęście, mam pod ręką jedną z ładniejszych powieści współczesnych, „Renée Mauperin“. Panna Renée Mauperin jest artystką, biegłą w muzyce i malarstwie, po za tem ma spryt, serce i język, jednym słowem, jak powiada autor, jest to „hałaśliwa melancholiczka“, czyli natura bardzo wrażliwa, zdolna odczuwać wszystko po swojemu i o szalonych zachciankach. Wyraża się niemożliwie, pływa po Sekwanie (w stroju kąpielowym) z konkurentem, którego widzi po raz pierwszy i który zmyka od jej nieprzyzwoitości; udaje artystę-cygana i łobuza, wpośród poważnej

rozmowy wtrąca najdziwaczniejsze koncepty, nie krępuje cię niczem, a ojciec, który głośno ją łaje, pocichu jej przyklaskuje. Grajku najmiłszy, jakież ty nam wygrywać będziesz melodye zawadyackie, marsze wściekle, jakie wesole i zalotne kontredanse. Z jaką gracką miną pójdziesz w ogień, na przedzie! I jak cię wołają wszystkie nasze huzarki, abys w ich pułku była.

Szukam skończonego huzara i zdaje mi się, że go znalazł w pannie Antoninie ze „Starych kawalerów“. Ta młoda osoba miała niedawno świetne powodzenie; widocznie przypadła publiczności do gustu: popędliwość, swawolność, żadna wszystko widzieć, wszystkiego się dotknąć, pytania gorączkowe, śmiałość nerwowa, ochota rekruta, który nigdy nie był ranny, wewnętrzna mieszanina nagłych i gwałtownych wrażeń, ferment myśli, które przy zetknięciu się z nowym światem wybuchają jak nabój prochu; rozbija się ona i harcuje u siebie i u drugih, jak młody jeździec na pierwszym rumaku. A co się tak widzom podoba, to, że wśród tych harców zachowuje sukienkę nowicyuszki: buty, szpada, pióropusz, wszystko zresztą jest huzarskie, jednego tylko szczegółu w stroju brakuje, i kontrast ten do ostateczności doprowadzony zachwycił ogólnie. Niewinność nieświadomości przy żywości i nieposkromionej gwałtowności, co za dowcipny wymysł! Poczekajmy trochę: niech się rekrut wykształci, a po roku mąż nam opowie, co ona z tego mieszanego stroju ma zamiar zachować: spódnicę czy szpicrutę.

Nie trzeba mnie nazywać sceptykiem, przyznaję im wszelkie cnoty stanowi właściwe. Czyż

huzar nie jest dumnym i odważnym? Toż to jego facha leć zawsze nadstawiać. Chciałbym widzieć dwudziestoletnie stworzenie ludzkie, któreby nie było szlachetnem; i ona nią jest, tymczasowo co prawda, bo ma lat dwadzieścia. Mój huzar-dziewczyna jest zdolnym do entuzjazmu; zobaczmy go w pięknych jego chwilach. Panna Frausina Desroucerets ¹⁾ w dwudziestym pierwszym roku życia spostrzega, że majątek ojca zachwiany; każe sobie wydać ogólną plenipotencję, spłaca długi, lokuje własny majątek jako dożywocie dla ojca, tym sposobem zachowuje mu jego wygodę, czuwa nad nim, jak nad dzieckiem, nie daje mu wpłatać się nanowo w ryzykowne przedsięwzięcia, które go zgubiły. Jest to piękny czyn, odważnie i ładnie spełniony. Podobnie młody oficer podejmuje się dostawić depezę pod ogniem armatnim, nie dbając o rany i szpital. Proszę zauważyć, jak te dwa charaktery są do siebie podobne. Ona to „*hic mulier*“, nie wypuszcza z rąk kierownictwa interesami, odmawia ojcu wtajemniczenia go w nie, stawia mu czoło, kieruje nim, powstrzymuje go jak marnotrawne dziecko; ma jędrną wymowę naprężonej woli; walczy z rywalką i z nieproszonymi, z gorzkim stoicyzmem i bolesną ironią niezachwianego postanowienia; nie chwieje się wobec obelg; przesadza swoją rolę oskarżyciela i skąpca, jak żołnierz, który szuka rany, a kiedy pod koniec notaryusz Guérin podaje w wątpliwość jej skrupulatność w interesach, ona mu odpowiada z wynio-

¹⁾ Maitre Guérin.

slą pogardą i z wybuchem dumy, którego by pozazdrościł jej oficer wezwany do poddania się. Jeśli był kiedy kto stworzony do oporu, do rządzenia i do wojny, to ona właśnie. Zauważmy też, że będąc zawsze nieszczęśliwą, jest ona ze wszystkich najczystsza. Szlachetność tamtych jest inna. Panna Klementyna Brenier ¹⁾ „wyjdzie za kogo chcą i kiedy zechcą, byle ślub się odbył na Boże Narodzenie, aby móżdż zimę w Rzymie przepędzić.“ Gdy się mąż znalazł, że jest miły i bardzo zakochany, obchodzi się z nim jak z lokajem; że on wskutek tego wynosi się i w dodatku zostaje wielkim człowiekiem, wraca do niego i w porywie nerwowej odwagi dzieli jego niebezpieczeństwa. Taka szlachetność niebardzo mnie zadziwia. Pani Gabryela Chabrière ²⁾, której mąż jest rozumny, sprytny, wesół, pracowity i bardzo kochający, chce wyjeżdżać z kochankiem, bo kochanek gada o miłości, a mąż o interesach; aż raptem, gdy mąż okazał się wymowniejszym od kochanka, spostrzega ona, że kochanek „jest tylko dzieckiem“ i że „mąż to mężczyzna“. I zostaje w domu i mówi: „o ojcie rodziny, o poeto, kocham ciebie!“ Poleca się uwadze panów notaryuszów, adwokatów, bankierów, urzędników, radców, wszystkich tych, co jak ów mąż zajmują się interesami; obowiązani są zostawać poetą dwa razy na miesiąc, jeśli chcą, by żony z domu nie uciekały. I rzeczywiście, to, co się w pułku, który opisuję, podoba przedewszystkiem,

¹⁾ Gabryela.

²⁾ Gabryela.

to blask, a nie zasługa i pójde najchętniej za tym wodzem, u którego będzie najwspanialszy pióropusz. Panna Fernanda Maréchal i Klemencya Charrier ¹⁾ nie są zadowolone z domu rodzinnego, lub straciły nadzieję wyjścia za tego, kogo kochają i ze zdumiewającą szybkością wychodzą za pierwszego z brzegu. „Ten lub inny, to przecież wszystko jedno!“ Jedna z nich ze swoim przyszłym rozmawiała trzy razy, druga wcale z nim nie mówiła; nie chodzi przecież o takie drobiazgi; biorą ślub ot tak, i kwita. Nie zwlekając, wychodzą zapowiedzi i po tygodniu, po wysłuchaniu mszy i po przebraniu się... Niech mnie dyabli wezmą, jeśli nie miałem głupstwa palnąć. Ale wobec takich skromności zdaje mi się zawsze, że jestem w szwadronie.

Te są jeszcze skromne. Inne uchodzą za takie; najprzód panna Kaliksta Roussel ²⁾, bardzo zręczna osóbką, która stara się złapać na wędkę wymykającego się konkurenta. Bardzo zręczna osóbką, używa postępów, rozpoczyna zwierzenia, niedomawia, wstrzymuje wyjazdy, wywołuje wyznania, wszystko to ze zręcznością i otwartością, w którejby jej Celimena nie przeszła. Zresztą, gdy nikt inny o tem nie myśli, trzeba samemu starać się o szczęście; gdy mąż sam nie idzie, trzeba iść po niego. Nawet w razie potrzeby można mu się oświadczyć, jak panna Hackendorf ³⁾, albo też można przyjść do jego

pokoju i tam wyznać mu swą miłość, jak panna Marcela de Sancenau:

— Pani zostałaby moją żoną?

— Ale najchętniej.

— I dlaczego pani chciałaby być moją żoną?

— Bo pan nie podobny do innych... Dziewczyna, którą pan widzi przed sobą, jest uczciwą dziewczyną i chciałaby zostać uczciwą kobietą, jeśli znajdzie rozumnego męża, który ją zrozumie i nią pokieruje. Niech się pan poświęci i ożeni się ze mną.

Która z nich ma ładniejszy styl? Słowo daję, przypominają mi się słowa Joanny d'Albret przy Karolu IV: „Chociaż dwór ten dziwnym mi się wydawał, jest on jeszcze dziwniejszym niż myślałam; tutaj nie mężczyźni starają się o kobiety, a kobiety o mężczyzn.“ Pod tym względem arcydziełem jest pani Simerose. „Jest to kobieta uczciwa, a nawet jeszcze gorzej.“ Znakomite wychowanie, z którego korzystamy, zachowało jej wszelką nieświadomość, rozwijając wszelkie życiowe energie; ona nie wie o niczem, a chce wszystkiego. Odprawiła męża, bo, to mężczyzna i zostaje sobie nadal panną; ale z prawa jest mężatką i bardzo z tego zadowolona; jest bowiem panią swej osoby, swego postępowania i majątku: „zachowuję stanowisko, jakie mi stworzono pomimo mej woli i mówiąc między nami, podoba mi się ono; nie mam dzieci, jestem bogata, swobodna; z postępów moich winnam zdawać rachunek tylko samej sobie.“ Przyjmuje, daje obiady, udaje gospodarza domu, z mężczyznami gada jak mężczyzna, kpi sobie z rad i idzie naprzód z głową

¹⁾ Syn Gabryela. Bezezelni.

²⁾ Złocony pasek.

³⁾ Przyjaciół kobiet. Półświątek.

do góry, dobrze uzbrojona, z prawem swem w rękę, nie zważając na ciekawość świata, na westchnienia adoratorów i na prośby męża. Jest to szczyt próżności, tem silniejszej, że sumienie jest czyste; jeśli przyjmuje wyznanie miłości, to z warunkiem, aby była platoniczną. I cóż! gdy się ta miłość jej wymknie, wtedy na złość i z wybuchem tłumionej namiętności rzuca się na szyję pierwszemu lepszemu. Na szczęście ten jest w rycerskim usposobieniu; inaczej za pół roku byłaby kobietą straconą i jeśli nie ginie, to cudem. Jak się na to zapatrywać? I co myśleć o tem rwaniu się ich do niezawisłości, do zuchwalstwa i inicjatywy? Mają one gwałtowność męskość, niehamowaną doświadczeniem i ponieważ jesteśmy w kawalerii, mogę je porównać do huzarów, szarżujących na nieokiełzanych koniach.

I ta ochota wojownicza wywierała swój wpływ; wybitną osobistością w naszych czasach, w tym teatrze jest pozasłużbowy wolontaryusz, Albertyna de Laborde, Zuzanna d'Ange, Serafina Pommeau, Olimpia Taverny i inne damy kameliowe. Te już są zupełnie mężczyznami i chcą za takich uchodzić; samej wystarczać na własne utrzymanie, porywać się do walki, podbijać, wyzyskiwać, mieć zawsze głowę chłodną wśród nieustającego niebezpieczeństwa, nabywać, uważać świat jako wroga i jako zdobycz; z tych rysów poznaje się kobietę, która czując w sobie siłę męską, zaczęła wprost rozbijać po drogach, zachowując pleć swoją jako broń i jako przynętę. Inne, uczciwe, lub nawpół uczciwe, zatrzymują się w połowie drogi, na którą je prowadzi temperament lub charakter, ta idzie do końca i dla tego dzisiaj

nadaje ton, narzuca swoje mody, swój sposób życia, zajmuje powszechną uwagę. Czuć w niej wyższość, królowę; poprzez urzędową pogardę panie ją trochę podziwiają, rozpytują się o nią, zazdroszczą jej w duchu swobody i śmiałości, czują w niej rywalkę, odnajdują jej wpływ w sposobie obejścia męża i aby móżdż walczyć na równą broń, występują w strojach wabiących, w dwuznacznych szaradach, w żywych obrazach. Przyjaciel mój, Maksymilian S., od dwóch lat żonaty, opowiada żonie swą przeszłość, informuje ją co do wszelkich Magdalenek. Wykształciła się prędko, kilka dni temu, widząc w Laszku młodą osobkę, która sama powozila: „A toż kto?—zawołała—to chyba ktoś mniej znany; mój mąż jej nie zna.“ I setki rysów podobnych; chce się żyć, nie krępując się; żonę traktuje się jak kolegę, jak pocziwego chłopca, przed którym można wszystko mówić. I mówi się jej wszystko, nawet najgrubsze rzeczy, tyle tylko, że w formie przyzwoitej; ona sama chwali się, że nie udaje fałszywej skromności; czyta wszystko, bywa wszędzie. Około trzydziestu pięciu lat jest podobną do nas; wyszumiała się; często bardzo pozostała uczciwą; intryga każda, szczególniej poważniejsza, zbyt jest ryzykowną; nie oplaca się. I jest ona wyrobiona jak mężczyzna, lubi rozmawiać, przez palce patrzy na wybryki synów; zaawansowała w stopniu; jest to stary pobłażliwy oficer, obeznany z mustrą; kompanię swoją prowadzi dobrze; z mężem żyją obok siebie, jako równi sobie, w przyzwoitym rozwodzie, wspólnicy w interesach, koledzy z przyzwyczajenia. Przykład: państwo Le-verdet w „Przyjacielu kobiet“.

Sliczny rezultat. Oto do czego doprowadza emancypacja kobiet. Widziałem zapoczątkowanie podobnych obyczajów w Ameryce i w Anglii. W Ameryce mamy flirt, kobiety z dyplomami i członkowie towarzystw filantropijnych. W Anglii są „fast girls“ pysznie jeżdżące konno, przedwcześnie rezonujące; p. Stuart Mill, bardzo rozumny człowiek, prawie że proponuje przyznać kobietom prawo do powszechnego głosowania. Szkoda, że za lat trzydzieści nie będę już żył: jeśli tak dalej pójdzie, to w r. 1900 widok będzie wcale ładny.

ROZDZIAŁ XVIII.

PIERWSZY KOCHANEK.

Zdaje mi się, że u młodzieży męskiej zmiana jeszcze znaczniejsza jest niż u kobiet.

Dawniej jego rola była prosta: przed kobietą, kimby ona nie była, powinien był udawać miłego i być gotowym padać na kolana. Mam przed sobą „Piękną Heloizę“, wydanie ilustrowane (czegoż bo się nie czyta, kiedy wątroba dolega). To Rousseau, ten dziki człowiek, pierwszy śmiał wyrzec, że galanteria jest śmieszną, i zrobić z kochanka gwałtownego plebejusza, niewychowanego deklamatora, poprzednika Didier'a, robotnika Gilbert'a i innych bohaterów Wiktora Hugo. Ale jakżeż inaczej rysownik rzeczy pojął! Co za ładny chłopiec, ten Saint-Preux na sztychu! Co za noga! Jaka twarz sprytna i wesola! Jak ślicznie uczesany i ubrany! Pończocha, dobrze naciągnięta, uwydatnia łydkę bez za-

rzutu; na fraczku i na pluderkach mienia się najweselsze barwy; na końcu różowych rękawów wije się pomięta koronka; na barwnej kamizelce odbija się śnieżnej białości żabot. On nadskakujący i czuły; kiedy klęka, aby rączkę chorej Julii ucałować, widać zaraz, że brał lekcye u najlepszych tanemi-strzów. Kiedy pod krzakiem róż otrzymuje „pierwszy pocałunek miłości“, nie jest wcale gwałtownym, nie traci — jak w książce — głowy, nie miętosi spódnicy, przeciwnie, ostrożnie zaokrągla ramiona, rozkosznie i pieścizotliwie smakuje śliczny owoc, który mu spadł na usta. Należy on do tej epoki, gdzie o wielkiego wodza pytano: „a czy on uprzejmy i miły?“ Bo też choćby dziesięć bitew wygrał, to go nie zwalniało z obowiązku podobać się damom, umieć ofiarować bukiet, skleić czterowersz, wtrącić komplement. Były to zabytki dawnych czasów: pani była jeszcze kasztelanką feodalną; miało się obowiązek służyć jej; uczucie zniknęło, ale formy pozostały; na miejsce paziów i rycerzy zjawili się kawalerowie gotowi do usług. Młodzieniec wchodzący w świat myślał tylko o tem, jakby znaleźć dwie białe ręce, któreby nim kierować chciały; te śliczne ręce formowały go, opiekowały się nim, a wzamian raczyły przez osiem godzin codziennie przyjmować komplementa i drobne usługi. Dzisiaj dwudziestoletni młody człowiek wolałby drwa rąbać; kobieta wzięłaby komplementarza za hebesa z prowincyi, a otwierając komedję Augier’a widzę, że na takie przedawnione uprzejmości odpowiada się spokojną ironią: „Dziękuję, Lindorze!“

Ztąd poszło, że rola pierwszego kochanka ogro-

mnie straciła na znaczeniu. I dlatego, jeśli wejść do salonu koło jedenastej wieczorem, widzi się dwie grupy oddzielne: jedna biała, różowa, w kwiatach, wstążkach i koronkach, nieruchoma — to kobiety uwieszone w obszernych spódnicach i w aksamicie foteli; druga grupa czarna, cienka, świecąca czaszkami lysemi lub na pół-lysemi, ale ruszająca się — to mężczyźni, którzy krążą w przyzwoitej odległości i oparci o drzwi przypatrują się przez szkiełka. Każdy z nich, po wejściu do salonu, wita się z panią domu, zamienia z nią kilkanaście słów, i zrobiwszy przezornie pół-zwrotu wymyka się z damskiego koła; co najwyżej gdzieniegdzie, u samej granicy, jaki frak przez minut kilka porozmawia z sukienką. Trzy razy na cztery jego to nie bawi, a ją to nudzi: obie płcie są sobie obce. Około dwunastej już pustki; pozostaje pięciu, czy sześciu mężczyzn i panie, które się dobrze znają. Wtedy panie skarżą się na zaniedbywanie ich przez mężczyzn, ci zaś bronią się jak mogą. Z tego wynika wymiana miłych kłamstewek, utajonych pochlebstw, przezroczy-stych zaczeppek. Ja, co z wieku i urzędu znam się na wartości tej monety, tak zestawiam budżet całej sprawy: cztery czynniki spowodowały ten ogólny upadek galanteryi:

1) Zbytek pracy u mężczyzny. Chodzi na giełdę, ma umysł zajęty znacznymi interesami, zmuszony jest dużo zarabiać, bo rozchód domowy i światowy przybiera olbrzymie rozmiary. Lekarz, adwokat, bankier, artysta, działacz polityczny wieczorem jest wycieńczony i nie jest w stanie wysilać się na bawienie dam. Jesteśmy plebejusze, u nas czas to

pieniądze; nie mamy już swobodnego ani czasu ani zmysłu, jak w ubiegłym stuleciu; ręce nam opadają wobec konieczności salonowego nadskakiwania. Pozwólcie nam wyciągnąć się w fotelu, z nogami w kominku, po angielsku, obok żony, która zajęta robotą i herbatą; lub też obyczajem francuskim, palić sobie cygarko z przyjacielem, który wraz z dymem puszcza dowcipy i łobuzować się z kochanką, która nas rozwesela żartami.

2) Przyzwyczajenie do ustawicznego rachowania pieniędzy. Młodzi czy starzy jesteśmy pozytywni, a młodzi więcej jeszcze od starych. Przy tej operacji kobieta ogromnie traci; dla niej jako widzowie potrzebni są poeci, a nie analitycy. Miłość żywi się złudzeniami, marzeniami nieokreślonymi i cudnymi, przez które świat się widzi jak przez mgłę świetlaną, nadzieję nedorzeczną, która wciąż goni za szczęściem nieznanem a rozkosznym; w jakiejże współczesnej głowie można odnaleźć takie cuda? Kto je w sobie spostrzeże, ten je niszczy starannie, jakby siadła na siebie zastawione; kto odrobinę jaką zachowa, ten wie dobrze, że złudzenie jest w nim, a nie w rzeczach. Ostatni i najwięcej kochający z poetów już powiedział: „Co mi tam flaszka, byle mieć upojenie!” Upojenia już nie ma, ale flaszki jeszcze są. Dzisiaj w pani lub pannie X. widzi się tylko panią lub pannę X., to jest spódnice i jej wartość, jedno z drugim mniej więcej przyjemne i przyzwoite, lecz z całym aparatem wygódek, udręczeń i potrzeb. Przy takich warunkach starać się o względy przez czas dłuższy nie jest żadnym interesem; kosztuje się nie opłacają. Przytem, jeśli się nie

kocha, ma się pewien wstręt do padania na kolana; postawa to i niewygodna, i nawet poniżająca; dobre to jeszcze na godzinę, ale tygodnia wytrzymać nie sposób. Wszystko dobrze zważywszy, jeśli już ma być związek, te niechże będzie otwarcie prawny, lub nieprawny; jak jeden, tak i drugi zawiera się jednakowo, za gotówkę, przed rejentem lub bez niego, ale zawsze bez kłopotów i bez uniesienia.

Małżeństwo z rozsądku, czy odwiedzanie Magdalenek: umysł biorący wszystko pod kredkę dąży do terminów z góry ustanowionych, do rozkoszy poręczonych, do stosunków łatwych. Bawmy się, lecz nie dawajmy się okpiwać. Mój przyjaciel B., najmilszy z giełdziarzy, mówił przedwczoraj w mojej obecności do swojego syna: „Masz studyować prawo, daję ci pięćset franków miesięcznie, pamiętaj o tych trzech zasadach: Nigdy nie trzymaj kochanki u siebie w domu. Zmieniaj ją co najmniej co trzy miesiące. Gdybyś czuł, że zaczynasz ją kochać, bierz jeszcze drugą. Szczególniej strzeż się przyzwyczajenia, nie poddawaj się; gdybyś czuł, że drgają w tobie wzniosłe słowa, to wspomnij, że będę miał dla ciebie, gdy dojdiesz do trzydziestu pięciu lat, całą paczkę do wyboru młodych panienek, ładnych, dobrze wychowanych, dobrze ubranych, daleko przyjemniejszych od twych kochanek, i które zamiast brać od ciebie pieniądze, same ci jeszcze dadzą”. Proszę mi powiedzieć, gdzie przy takiej etyce ma być miejsce dla namiętności?

3) Pewien nowy zasób uczciwości. Są dziś kobiety widocznie uczciwe, szczególnie w sferach mieszczańskich, i czuje się, że byłoby dla nich zniewa-

gą powiedzieć im, że są ładne. Po za tem, szanuje się panny. Nic rzadszego, jak uwodziciel niewinności, w rodzaju p. de Mortemer. ¹⁾ Nawet niezbyt skrupulatny mężczyzna nie bierze się do nich; czeka aż zamąż wyjdą.

4) Ogromna nierówność wykształcenia kobiety i mężczyzny. Wskutek tego brakuje tematu do rozmowy. Kobieta nie umie już mówić o religii, jak w wieku XVII, lub o filozofii, jak w XVIII. Z jej wychowania poważną myśl usunięto, zostawiono jej fortepian, posiada więc szkołę muzyki, plotki światowe i formułki katechizmu. Z drugiej strony, wobec olbrzymiego rozwoju każdej sztuki, każdej nauki, mężczyzna, uwięziony w swej specjalności, może o niej mówić tylko z bardzo wykształconym człowiekiem. W krajach germańskich młode panny posiadają ze cztery języki, przeszły szkołę nudnego rozumowania, przysłuchiwały się politycznym i teologicznym rozprawom rodziców i gości, i rozumiały o co chodzi. U nas wspólnego gruntu już niema; po nadludzkich wysiłkach mężczyzna i kobieta pozostają oddaleni, zaplątawszy się w zdania zdawkowe, śmiejąc się na urząd i ziewając w duchu. Mężczyzna, gdy go przyprowadzą przed kobietę, w tej samej chwili gdy z czarującym uśmiechem składa przed nią ukłon pełen wdzięku i uszanowania, w duchu myśli: „Jeśli będę mówił rzeczy prawdziwe, pomysli, że jestem źle wychowany albo pedant; jeśli będę powtarzał zdania utarte, będzie mnie miała za

¹⁾ Starzy kawalerowie.

durnia. Kochana pani, niechże panią dyabli wezmą; ale jakżebym rad był pomówić z Panią, gdybym miał pani co do powiedzenia“.

Trzeba przyznać, że przy takich obyczajach niełatwo tworzyć kochanków dla teatru. Oto rezultat dokładnych poszukiwań:

Dawny pierwszy kochanek, Stefan w „Gabryeli“, Paweł w „Dyane de Lys“, p. de Montégre w „Przyjacielu kobiet“, wszystko to są następcy Antony'ego, kuzynkowie porywczych i ponurych kochanków Wiktora Hugo. Za jednym z moich powrotów do Francji, około 1830 roku, widziałem ich kamizelki; były to kamizelki bardzo poetyczne, a pukiel włosów nad wypukłym czołem gwałtownie w tył odrzucony, zapowiadał silne namiętności: „Obfita czupryna, cera blada, głos metaliczny i donośny, odbijający każde słowo jak metal; oczy z pod silnie zarysowanych brwi; wyraziście patrzące, stalowe mięśnie, czoło żelazne, zawsze na usługi ducha; nagle uniesienia, bezbrzeżne zwątpienia i w ciągu jednej chwili odrodzenie ducha.“

„Należą oni do tej rasy ludzi, którzy umieją wędrować po szerokich drogach, przepędzać noce pod oknem, żyć nie jedząc i są zawsze gotowi samym sobie w łeb pałać i wszystkich pozabijać. Usposobienie żółciowe, wątroba zaduża; trzeba ich posyłać do Vichy“. ¹⁾ Widzimy z tego, jak ich opisują, że są to już rzadkie zjawiska, a zatem są nieliczni, często śmieszni, zawsze przestarzaali. Pan de

¹⁾ Przyjaciel kobiet.

Montégre przyjeżdża z prowincyi, p. de Naujac wraca z Afryki; w życiu prowincjonalnem lub woj-skowem zachowali się obaj, jak ryba w konserwie, lub jak szpada w pochwie. Stefan zaś i Paweł u Augier'a i Dumas'a, to płody młodociane, wykló-te pod połą płaszczą starego Dumas'a i starego Hugo. I patrzcie, co za role im dają? Naujac jest dzieckiem złośliwym i niesforem, które hałasuje, krzyczy, płacze, chce gwałtem ludzi zarzynać i z la-da kim się ożenić; jeśli go ratują, nie jego w tem wina. Stefana wyrzucają za drzwi, gdyż po spraw-dzeniu okazuje się, że przewyższa go — mąż, pra-wnik krotochwilny, a rachunkowy. — Pawła zabija mąż, co w widzach wywołuje tylko współczucie. — Montégre, niewiniątko, które zgadza się na miłość czystą, daje się pocziwie wyprowadzić w pole i zwraca żonę właścicielowi. — Być oszukanym, za-bitym, wyrzuconym, wyratowanym, oto cztery wyj-ścia dla kochanka — zapaleńca. Njechże wraca do bibliotek i niech śpi snem spokojnym przy Her-nani'em, Otellu i wielu innych; wyszedł już z mody, jak turban lub żabot. Taki człowiek to pe-tarda, a wynieść-że go coprędzej na chłód, do lo-chu. Wśród naszych krynolin, wykwentnych obiadów, dowiecipnych rozmów jego wybuchy są i niewygo-dne i śmieszne; w jego obecności jest się skrepo-wanym.

Przejdźmy do osób prawdziwie współczesnych. Panna wyemancypowana, sceptyczna i nieufna, kró-luje z wyżyn posagu, jak na tronie; chodzi o to, by się do niej dostać, zadanie dla ubogiego kochanka niełatwe. Jak tu smalić cholewki do kobiety, któ-

ra niby to słuchając cię, w duchu robi następne uwagi: „Jest nas cała paczka panien bogatych, które dobrze wiemy, że starają się nie o nas, lecz o nasze pie-niądze, i których to już nawet nie oburza. Czyja w tem wina: nasza, czy tych panów? My nie wię-cej nie żądamy, jak dać się okłamywać, ale oni na-wet tej pracy sobie nie zadają. Najlepsi jeszcze są ci, którzy się tylko o posag pytają... Był taki, co się mnie pytał ile lat ma moja matka“. ¹⁾ Ze swo-jej strony, nie chcąc się poniżać, kochanek powiada: „panny posażne... a pfe! szelest ich sukien—to jak szelest biletów bankowych, a w oczach ich jedną tylko myśl wyczytać można: prawo karze fałszerzy“ ²⁾. To wszystko zmienia sposób starania się; strony są na stopie wojennej. Ona go znieważa, on jest gru-biański; ona go wypędza, on się wynosi—wtedy ona zmuszona gonić za nim, przeprasza go na klę-czkach, albo całuje go publicznie, ale dopiero w piątym akcie. Ogólne wyjaśnienia, rozczerwanie, ślub. Ale przyznać trzeba, że to wcale niezwykle sposób dla pierwszego kochanka przepędzać czas, z wyjąt-kiem ostatnich dziesięciu minut, dając i odbierając policzki.

Taki miły stan walki ukrytej lub otwartej jest obecnie panującym w stosunku między jedną pcią a drugą. Zauważyłem sto razy w salonach, że ko-bietom niby to żartem mówi się rzeczy ostre lub niedelikatne. Ponieważ nabrały sposobu obejścia i har-

¹⁾ Piękne małżeństwo.

²⁾ Syn Giboyer'a.

dości mężczyzn, postępuje się z niemi jak z mężczyzną, to jest jakby z rywalem lub kolegą. Krzyży się z niemi broń, a że nią wcale dobrze władają, więc niema się zbyt wielkich wyrzutów sumienia, jeśli się je końcem szpady trochę zadraśnię. Weszło to już w przyzwyczajenie; jest to jedyny sposób zachowania się z ladacznikami i z gorszego świata przeszło to do lepszego. Przypatrzmy się typom wojującym. Jest przedewszystkiem zwykły dureń, p. de Naton albo p. de Froines ¹⁾ (mój siostrzeniec, p. Anatol Durand, czy też d'Urand, należy do tej kategorii), młody niedźwiadkowaty światowiec, który przy kobietach poziewa i znudzonym głosem twierdzi: „Ależ bo i zabawne, te panie z towarzystwa!“ Kiedy się przywitał i głośno zauważył, że czas brzydki, to już wyczerpał cały swój zasób; chciałby sobie pójść, zaczyna szukać cygara po kieszeniach i myśli o buduarze Titiny, gdzie można palić zadarłszy nogi na wysokość nosa, lub o kolacyjce z London, która tak kapitalnie śpiewa piosenkę „o młodym stolarczyku“. — Jest następnie mężczyzna doświadczony i drwiący, Frydryk Bordognon ²⁾ „młodszy syn kupca kolonialnego, na ulicy Szklanej, pod trzema oliwkami, łajzący kobiety, których fagasy nie chcieliby się jego ojcu kłaniać“. Mając czterdzieści tysięcy dochodu, ubiera się jak gentleman, ale zachowuje kupiecki zmysł sceptyczny i rachunkowy. „Wymówię miejsce lokatorce mojego serca; chce podnieść cenę, więc zrywam umowę“. Jego

¹⁾ Ojciec marnotrawny. Starzy kawalerowie.

²⁾ Ubogie lwice.

doświadczenie nie pozostawia nic do życzenia. We wszystkich jego żartach, jak zwrotka w piosence, powraca wzmianka o cyfrach. „Póki uboga lwica jest uczciwą, mąż jej płaci dziesięć centymów za buleccki pięciocentymowe; gdy nią być przestaje, wtedy płaci on pięć centymów za dziesięciocentymowe. Zaczęła od okradania spółki małżeńskiej, a kończy wzbogacając ją“. Wygrawszy w karty 10,000 franków, niesie on je przystojnej kobiecie wraz z pierwszemi oświadczeniami. I w takim stylu jest całe jego zachowanie się i sposób mówienia; jest to epikurejczyk — pozytywista. Kobietom pozostaje tylko mieć się na ostrożności przed jego pazurkami. — Pomijam jeszcze lepszych. — Chcecie zobaczyć typ dodatniejszy, prawdziwego Francuza, ładnego, lekkiego, wesołego, jak ci z XVIII wieku; zawsze ożywiony, łatwy, nawet nadskakujący, zresztą nie pozbawiony prawości, a nawet delikatności ¹⁾. On także jest dzieckiem swego wieku i jeśli prawi komplementy, to tylko półgębkiem. Jest on w świetny sposób roztrzepany i zabawny z niego gaduła, co mu nie przeszkadza być przezornym, przebiegłym, zawsze na baczności i gotowym do odporu wobec ubóstwianej kobiety, która poluje na jego dukaty. Zna on istotnie cenę pieniędzy, wartość rzeczy, którejby nie zważył i z którejby nie drwił. „Zacny pułkownik! uosobiona to prawość i uczciwość! ale do swego domu go nie wpuszczę... Uśmiecha mi się myśl osadzenia przy swem ognisku młodej dziewczycy,

¹⁾ Maître Guérin: Artur Leeontellier.

która będzie aniołem stróżem mojej kasy ogniotrwałej". Spryt jego, to spryt francuski, przyjemny i dowcipny, lecz zepsuty przez doświadczenie życiowe, jak wino delikatne, na które słońce zbyt silnie działało: na wierzchu kipi lekka pianka błazeństw; na dnie cienka struga ironii, w środku zapas zdrowego rozsądku, kupieckiego i płytkiego. Żaden z tych trzech napojów nie upaja, więc gdy będzie się on starał o panią Lecontellier, to napewno z kodeksem w ręku.

Otóż trzeba było tego szczwanego lisa wyprowadzić z drugiego na pierwszy plan i dać mu pierwszą rolę i to rolę sympatyczną. Zadanie niełatwe zrobić sympatycznym człowieka, który dla kobiet jest niegrzecznym i wrogim. Jakoś się to zrobiło i pan de Jalin, pan de Ryons, to jedne z lepiej udanych i więcej pouczających typów współczesnego teatru ¹⁾. By ich uczynić znośnymi, autor umieścił jednego z nich w pół-świątku, między kobiety upadłe, co pozwala mu krzyczeć im: „a do budy!“, drugiego zaś w wyższym świecie, między cnoty wątpliwe lub zaczepiające niewiniątka, co znowu tłómaczy jego impertynencye; zresztą, któregoś dnia, spotkawszy w kobiecie dziewicę, dostaje on napadu rycerskości, co go podnosi do rzędu wybawców. Ale jak na zimno i jak mądrze grają obaj na mechanizmie kobiecym! Jakie z nią robią doświadczenia, dla własnej przyjemności i dla korzyści drugich! Jak dokładnie, przewidując wszystko, umieją oni na-

¹⁾ Pół-świątek.—Przyjaciel kobietek.

cisnąć sprężynę, dzięki której niespodzianie w młodej pannie objawia się loretka początkująca, a w młodej kobiecie loretka już wyrobiona! „Moje oświadczyły? Ależ to prosta grzeczność; są kobiety, które dbają o podobne rzeczy w rozmowie.—I udawało się panu w ten sposób? — Częściej, niż sam chciałem“. Są to fizyolodzy i chirurdzy; porady dają darmo, operują chorych, zwykle dla miłości sztuki, czasem przez resztkę ludzkości. „Dom państwa jest oryginalny i rad jestem, żem tu przyszedł. Dla zbieracza, jak ja, znajdzie się tu robota, i oto zdaje mi się jest tym, którego jeszcze w kolekcji mej nie posiadam“. Tymczasem teorię posiadają dokładnie i bez przesady można im powiedzieć, że niktogo nie oszczędzają: „Nie przepuszcza pan nawet dzieciom. — Kobiety nigdy nie są dziećmi. — Dzieci to pociecha we wszelkich okolicznościach. — Z wyjątkiem tej, gdy się je ma. . Ależ cicho, na miłość Boga! przecież to kobieta wzbudza natchnienie do wielkich czynów.—Których też spełnić nie pozwala... Obiecałem sobie, że ani serca, ani honoru, ani życia nie dam nigdy na pastwę tym miluchnym i straszonym stworzonkom, dla których się rujnujemy, bezczęścimy, zabijamy, a które wpośród tej ogólnej rzezi zajmuje jedynie myśl, czy ubrać się jak parasol, czy jak dzwonek“. — Zauważmy przytem, że ten teoretyk nie jest „bezinteresowną owieczką; przeciwnie, jest to baran, który się dalej pasie na gromadzkim wygonie“ ¹⁾, jeśli sercem ma lat sześćdziesiąt,

¹⁾ Dowcip Edmonda About.

to zmysły jego mają lat trzydzieści. Zauważmy, że ten epikurejczyk nie jest bezwzględny i brutalny Lowelasem, jak ten drugi, co znajdował, że jest w porządku, „jeśli przez tydzień nosił żalobę po tych kochanych istotach, które z jego winy przy po-
logu umarły“; jest on raczej uprzejmy i chętnie kobietom oddaje usługi. Wszystko to razem wzięte składa się na charakter całkowity, najzupełniej współczesny, bynajmniej nie wzbudzający odrazy, nawet przyjemny i wyższy. Raz zgadzamy się na kobietę jako na istotę „nielogiczną, podrzędną, szkodliwą“, ale czarującą, niby rozkoszne a niezdrowe perfumy w kryształowym naczyniu, więc chodzi o to, by je wachać ostrożnie, delikatnie, z rzadka, nie u siebie, a u drugich, szczególnie, by nie uszkodzić naczynia i o ile można powstrzymywać nieokrzeseane lub niezgrabne ręce, gotowe naczynie to stłuc. Od Antony'ego do kochanka damy kameliowej, do malarsza Pawła, do Oliviera de Jalin, do pana de Ryons, przeobrażenie się jest widoczne. Pomiędzy uniesieniem z r. 1820 a pozytywizmem roku 1860 nabyte doświadczenie zrobiło mężczyznę nieufnym i ostrożnym; z kochanka stał się czasem wrogiem, często przeciwnikiem, częściej jeszcze prostym widzem, a co najwyżej przyjacielem.

Przyjacielem po utarczkach i ze wszelkimi zastrzeżeniami. Z tego powodu wolę moją rolę, i moje wychowanie przydaje mi się, Mego biednego siostrzeńca, Anatola Durand czy d'Urand, to mi czasem żal; on bywa onieśmielony tam, gdzie ja się czuję zupełnie swobodnym; prawda, że ja już nie mam pretensyi, a on je ma. Gdy się ma lat pięć-

dziesiąt pięć, gdy się straciło włosy i wraca się z Ameryki, nie jest się już niebezpiecznym; ma się prawo być uprzejmym i nawet więcej. Jest to prawo z dawnych czasów, które dla własnej korzyści wskrzeszam. Rozmowa przestaje być pojedynkiem, a cóż to za męka — pojedynek bez przerwy i to z kobietą! Jak to przykro mówić im rzeczy ostre, czasem nawet zimne! A jak to przyjemnie być dla nich przyjemnym! Niepotrzeba wcale na to powtarzać ekliwości z XVIII wieku: od pierwszego wejścia, bez słów żadnych, one już wiedzą, czy się podobały, do jakiego stopnia, z jakim odcieniem; czy poruszyły serce, głowę lub zmysły, czy podziały strojem, rozumem lub wdziękiem. Nie trzeba nic udawać, trzeba czuć i być swobodnym. Po kwadransie one się rozkrochmalają; nie bojąc się drwin, okazują się przed naszym umysłem, jak przed własnym zwierciadłem; przyglądają się sobie, i widząc, że są miłe, lubują się same w sobie, bez przymusu, nie zmieniając sposobu bycia, nie siląc się na uśmiechy. Proszę mi znaleźć rolę przyjemniejszą, jak być takim zwierciadłem; co do mnie, wystarczy mi. Koniec końców, po sześciu miesiącach opera zagłusza, teatr ze swą szychową elegancją staje się wstrętnym, a wielka loretka czemże jest innem jak komedyantką pokojową? Ze wszystkich widowisk Paryża najmiłszem jest prawdziwie światowa kobieta; jest to całe widowisko w fotelu; od koronek do umysłu wszystko w niej jest arcydziełem współczesnej kultury; by ją zrobić taką, jaką jest, trzeba było czterech lub pięciu pokoleń, z pewnym majątkiem, o wykwinnych obyczajach i wy-

sokiem wykształceniu; co tylko zmysł piękna wynalazł wykwińskiego, wszystko to zebrane w jej stroju i jej osobie. Oto siedzi ona przed nami w fotelu krytym jasnym jedwabiem, trochę przechylona, z drobnymi ptasiemi ruchami, jakby niedbała i śmiejąca się; nad zgięciem jej ramion, niby oczy żywe, skrzą się błyski z jej naszyjnika; złoty grzebień wśród kwiatów tuli się do fali jej włosów; poniżej wytwornego stanika mienia się błyskotliwe fałdy jej sukni. Ona rozmawia, uradowana, udziela się o ile może, i jest zadowolona, jeśli nam sprawia przyjemność. Słowo honoru, zaczynam wierzyć, że obrazy, muzyka, książki, stworzone zostały przez jakichś nieśczęśnych na użytek chorych, i że wszyscy ci ludzie, autorowie i widze, ślepi byli na dary natury. Między dziełami sztuki są martwe, które się umieszczają w bibliotekach, lub rozwiesza w galeryach, ja bo wolę takie, które nie są poprawne w skórkę cielejącą, lub naklejone na płótno.

ROZDZIAŁ XIX.

ARTYŚCI.

I.

14 września.

Tej jesieni przepędziłem miesiąc w Fontainebleau i w wioskach sąsiednich. Tam się ich widzi w świetle prawdziwym. Co prawda, z początku nie przychodziło mi wcale do głowy im się przypatrywać.

Czyż to możliwe, by pod Paryżem był taki las? Zbudziły się wszystkie moje wspomnienia z Ameryki. Dziewięć lat temu, po załatwieniu rachunków, błądziłem konno wśród podobnej puszczy; myśli o handlu i o pieniądzach odpadały jak brudne odzienię; odnajdywałem uniesienia młodości; zdawało mi się, że znowu staję się człowiekiem. Z pewnością to, co najlepiej lubię na świecie, to drzewa.

Czy ja żyłem w tym Paryżu, którego tak pragnąłem? Tutaj wydaje mi się, że nie. Mój salon, powóz, całe urządzenie, to krępujący strój wieczorowy. Wzrok mój miał zajęcie, widziałem ciekawą menażeryę. Ale czy naprawdę użyłem życia? Tych dziewięć lat, widzianych w oddali, robią na mnie wrażenie hałaśliwego i jednostajnego trotuaru, jakiejś olbrzymiej ulicy Rivoli, z zapachem gazu i asfaltu. Co w nich odnajduję najlepszego, to ośm dni nieobecności, wyprawę myśliwską w Wogezy. Mieliśmy z sobą muła, chłopca, namiot; żyliśmy z polowania i koczowaliśmy w lasach; wieczorem człowiek paproszył zwierzynę, ja nad węglami żarzącymi przyrządzałem pieczyste za pomocą różna, wsuniętego między dwie żerdki; gałęzie trzeszczały w ogniu, lekkie porywy wiatru rzucały na bok jęczyczki ogniste; iskry skakały jak szalone, dym błękitnawy wznosił się pośród pni; zasypialiśmy, owinięci w płaszcze, z nogami u ogniska i odchodząc zrana, czuliśmy na czole krople rosy, spadające z olbrzymich dębów.

W lesie tutejszym przyroda nie panuje już tak wyłącznie, ale jakież on jeszcze piękny! Nad brzegiem drogi buki złociste, wspaniale rozwinięte, rozrzucają swe liście koronkowe. Ciągną się rzędem, jak oko sięga, kąpiąc się w jasnym powietrzu. Światło strumieniami spada na ich szczyty, odbija się o liście, kaskadą coraz niżej spływa aż na trawę. Złotawy opar, jak pyłek iskrzący się, otacza je jakby gazą. Białe pnie mają korę zawsze gładką i młodą. Bogata ziemia, z której ciągną soki, jeszcze w dojrzałości zachowuje im wygląd młodociany,

a niebo rozpościera nad nimi jasno-niebieskie, rozległe sklepienie.

Na drodze nikogo; na widnokręgu świeci się krzyż z wieży. Spokój taki musiał panować w pałacu Śpiącej Królowny. Czy naprawdę przechodził kto tędy od stulecia? Po tamtej stronie starodrzewów odwieczny stoi w cieniu. Olbrzymie, czarowiawe pnie z rozmachem zagłębiają się w ziemię, a szczyty ich giną wśród innych szczytów. Niektóre wygięte jak węże ogromne, co się chcą ucześcić. Zrzadka, przez szczeliny, niebo przegląda. Ale cały widnokrąg zalany zielonością, miejscami ponurą, miejscami jaśniejącą. Światło, padające z góry, gdzieś tam pozostawia ruchome smugi szmaragdowe. Liście drżą i błyszczą. Poprzez tę głębię biegnie jakiś szelest nieskończony, szmer stu tysięcy głosów, brzęczenie, to głośniejsze, to cichsze, a na piaszczystym urwisku gromadka świerków, w szatach niebieskawo-zielonych, jakby głośniej śpiewa, niby w narzeczu melodyjnym a obcem.

Czasem kruk zakracze, rozlegnie się czysta nutka sikorki. Wśród ciszy szeleszczą koniki polne, a roje owadów wirują w powietrzu ciężkiem, przesiąkniętem zapachami. Na suche liście żółędz gdzieś upadła, chrząszcz skrzydełkami otarł się o gałązkę. Z wyżyn płyną jakieś głosiki wesole, delikatne święgotanie ptactwa. To ludek cały żyje pod temi sklepieniami i wśród tych mchów, ludek dziecinny, ruchliwy, i do uszu dolatuje jego szczebiotanie, na wpół zagłuszone przez ciężki oddech śpiącego pradiada.

Wczoraj, o jedenastej wieczorem, na wysoko-

ściach Franchart'u księżyc w pełni wydawał się płytą srebrną, wychodzącą w kuźni z pod młota. Po obu stronach nieba, jakby pióra białe, kołysały się smugi lekkich, powiewnych obłoków. Po środku błękit wydawał się czarnym, tak silną była jasność. Poniżej, w mroku, niewyraźnie czerniały wzgórza i głębie leśne. Od piasków białych szedł blask. Przedemną giętka brzoza wznosiła rozczochraną i śliczną główkę; liście jej były nieruchome, taka cisza panowała w powietrzu. Wyteża się słuch, by dźwięk jaki uchwycić, i w nieuchwytnym prawie szmerze odgaduje się oddalony krzyk wabiącego jelenia.

II.

Mieszkanie i tryb życia są tu dość pierwotne, coś jakby w gospodach osadników w Arkansasie lub Illinoisie. Łóżko, dwa kulawe krzeselka, czasem fotel, przypominający inwalida z czasów Cesarstwa; na ścianach, wapnem bielonych, nagryzmolone naprędcze szkice, przyznać muszę, bardzo ładne, ładniejsze, co do mnie, od ich wystawowych obrazów, takie to naturalne, tyle tam wesołości, pomysłów, swobody, rzucone to bez przygotowania iładu, jak rozmowa z rozumnym człowiekiem. Oto obrazki wewnątrz domu, niewypracowane i niewymęczone, ale łatwe, świetne, przesadzone lub żartobliwe, jak im przez mózg się przewinęły: w gąszczu zielonym dwóch dziarskich myśliwych w czerwonych frakach; srokaty i zdrowe psy, na cały głos szczekające; młoda dziewczyna po pas naga, wygina się i śmieje; pan Prudhomme wylażący z kubka do jaj — trzy

karykatury; rozłożysty świerk na wybrzeżu piaszczystym, nad morzem.

Tymczasem schody drżą pod grubemi butami, schodzącymi z góry; w kuchni robi się rejwach; zapina się torby i kamasze; każdy zajada byle gdzie, jak sobie chce, siedząc, stojąc, na schodach, na bufecie, na stole. Kobiety zbiegają w białych spódniczkach, z oczami zaspanemi, jeszcze ziewające; przyjmuje się je drwinkami, które nie robią najmniejszego wrażenia. Po za domem chłopcy tego zbudowani na drodze rzucają piką do celu; drudzy, spokojniejsi, przypatrują się gnojowisku i grzebiącym w niem kurom. Gładzą kota, dręczą psa. Gospodarz, stary pijak, wypróżnia już piąty kieliszek; namawia do picia i sam się upija. Znalazłem go raz na czworakach, bez sił do powstania; posuwał się tak naprzód i jeszcze rozumiał, co do niego mówiono. Mała służąca, siedząc na piętach, rozdmuchuje ogień i marzy o haftowanych spódnicach z pierwszego piętra; jako ochronę moralną, ma ona policzki od gospodyni i mistyczną książeczkę do nabożeństwa. Cały ciężar pracy spada na grubą gospodynię, która od rana do nocy, bez zmęczenia i nie śpiesząc się, gotuje, skrobie, zamiata, odbiera i płaci pieniądze, odpowiada wszystkim, służy gościom. Chłopi, którzy tu przychodzą, wiedzą doskonale, co się tu dzieje: nie gorszą się, raczej się śmieją, trochę złośliwie i nie bez zazdrości; są to zawsze chłopcy z „Opowiadań“ La Fontaine'a.

Każdy idzie w swoją stronę i w lesie pracuje lub śpi; jestem skłonny do przypuszczenia, że to drugie zajęcie przeważa. Poć noc wracają po

jednemu, niosąc na plecach parasol, stalugi, płótna, pudełka z farbami; siadają przy wejściu do gospody na ławie kamiennej i wyciągając ręce i nogi, gawędzą, przypatrując się przejeżdżającym wozom i gwarzającym kumoszkom; mając sumienie spokojne, włóczą się z kąta w kąt; dla chłopów to nie nowina; wszystko się na wsi robi powoli; chłopka jest w stanie godzinę stać przy wózku z mlekiem, zamieniając co pięć minut parę słów z woźnicą. Gdy noc zapadnie, spożywa się wieczerzę na stole bez obrusa, przy czterech świeczkach; jako siedzenie, stolki drewniane; czasem dodatkowych dwa lub trzy krzesła. Żółtawe światło drga na zadymionych belkach sufitu, na ścianach, pokrytych karykaturami; nakoniec zjawia się kawa, zaczynają krążyć kieliszki rumu. Wtedy to wybuchają dyskusje literackie, grzmi cała filozofia sztuki. Wielkich ludzi morduje się lub wynosi pod niebiosa: wrzeszczą strasznie. Tymczasem kobiety, nie rozumiejąc ani słowa, ziewają na wyprzódki; jedna z nich zasnęła, wyciągnąwszy się na starym kwadratowym fortepianie; inna, leżąc, kręci papierosa. Kiedy walczący ochrypną na dobre, idą patrzeć na las przy oświetleniu księżycowem. Jeden gra na rogu, drugi udaje jeleń; jedna za drugą płyną najdziwaczniejsze historie, słuchacze leżą na piasku, paląc dwunastą, czy piętnastą fajkę. Dzień skończony—idziemy spać.

Ciężkie to rzemiosło. Ludzie pięćdziesięcioletni, o ustalonej sławie, nie zarabiają dziesięciu tysięcy franków rocznie.

W wieku około trzydziestu lat, po dziesięciu latach nauki zaczyna się tworzyć: wtedy już konieczne trzeba sprzedawać, żeby zaś sprzedawać, trzeba, by pod artystą znalazł się handlarz. Niektórzy głodzą się, dają lekcje po trzy franki, i to jeszcze uważa się za szczęście. Inni podmalowują fotografie, lub malują duże szyby. W czterdziestu latach, jeżeli się ma istotny talent i przyjaciół w prasie, to za pomocą wystaw i reklamy można się wybić na wierzch. Gdy minie pięćdziesiąt, zarabia się pieniądze i ma się reumatyzmy.

Z każdym rokiem zmniejsza się ilość prawdziwych miłośników. Zamiłowanie upada, od kiedy wskutek działów rozpadły się wielkie fortuny, a olbrzymie zyski na giełdzie wprowadziły do towarzystwa nieokrzesanych milionerów. Amatorowie myślą o odprzedaniu galeryi, zwracają się do handlarzy, robią na tem interesy. Aby się powiodło, potrzeba trzech rzeczy: najprzód, aby na wystawie jaki bogaty mieszczuch powiedział sobie: „oto wcale wesoły „powrót z polowania“, nieźleby wyglądał w mojej sali jadalnej po lewej stronie!“ powtóre, trzeba, aby był w humorze wydawania, aby wierzył we własny gust, aby żona nie protestowała, jednem słowem, aby kupił; po trzecie, aby jego znajomi, zjadłszy śniadanie przed tym obrazem, zamawiali sobie podobne.

Ale tysiące obrazów na wystawach zabijają uwagę, zacierają wszelką piękność. Kobieta śliczną bywa, gdy jest sama jedna na kozetce u kominka; gdy się znajdzie na balu pośród ośmdziesięciu toalet, to jej wcale nie widać. Jak się sprzedaje tych kilka-

naście kilometrów płótna, które się co roku w Paryżu wyrabiają? Na to odpowiedzieć nie ma sposobu. Tłok tu jeszcze większy niż na innych polach. Od lat trzydziestu bohaterem w powieściach przestał być młody obywatel, a jest nim artysta, poważnie malarz. I zaczęły się zapalać wyobraźnie; wielu młodych ludzi, z których byliby wzorowi subiekt, sprawiło sobie kamasze i zapuściło brody. Ale pytanie, co będą jedli.

Niektórzy się zużyli. Jeden z nich przez całe lato wykończył studium. Skrobie, poprawia, znowu skrobie, traci na koniec pierwsze prawdziwe wrażenie, staje się rozdrażnionym, gada jak w gorączce, przerwami, jak człowiek, który przeżył atak nerwowy.

Wielu z nich zadało gwałt własnej naturze i po piętnastu latach wysiłków okazują się nieplodnymi. Zamiast rozbudzał wyobraźnię, zamiast potrzeby wylania na płótno nadmiaru myśli, są oni jak źródło wyschłe, z którego zrzadka sączy się jakaś nieszczęśliwa kropelka. Nadchodzi przyjaciel, oni go łapią za rękę wśród jakiegoś ruchu: „Zostań tak, wyciągnij ramię! mam na koniec potrzebną mi pozę”. W końcu, po niezliczonych próbach, wypadkiem coś uchwycą, lecz twór ten, cudem zdobyty, jest wymuszony i poroniony.

Niektórzy puszczają się na handel; smarują obrazy po czterdzieści franków. Po pewnym przeciągu czasu delikatna sprężyna artystyczna zużywa się i pozostają na całe życie rzemieślnikami. Czasem rada powiatowa, chcąc uchodzić za mecenas sztuki, przyzna pensję sześciuset franków.

Małe miasteczka zaczynają urządzać wystawy i powstają sławy powiatowe.

Dwóch lub trzech, to są sprytni i zręczni, z otwarciem salonów zrzucają grube trzewiki, wracają do Paryża, bywają w świecie i zużywają masę świeżych rękawiczek. Znają się z krytykami, przewracają modę, urządzają sobie pracownię. Jeżeli amator spotykał malarza w pewnych towarzystwach i w przyzwoitym stroju, to nie może mu proponować za obraz mniej niż pięćset franków.

Większość jest względem własnego talentu również nerwowo usposobiona, jak kobieta, gdy chodzi o jej piękność. Widziałem jednego z nich, jednego z trzech lub czterech dzisiaj najslawniejszych, jak płacząc prawie ręce opuszczał, przeczytawszy felieton człowieka, który nigdy pędził w rękę nie trzymał: „Ależ ja jestem skończony idyota, pozostaje mi tylko płótno za okno powyrzucać!“. Gdyśmy innemu wymówki robili, że zbyt dba o krytykę: „Trzeba, żeby gadano, trzeba sławy; to jedno może mnie przekona, że nie jestem wariat; przecież panowie tacy-to, którzy są osły, myślą o swych obrazach to samo, co ja o swoich“.

Trzeba do tego dodać wiele innych przykrości, szczególnie pochodzących od kobiet; to jest ich bolączka. Zonaci lub nie, żyją oni z dawnymi aktorkami, z modelkami, z gryzetskami, które tańczyły na balach publicznych. Te zachowują swój dawny sposób obejścia. Alfons Karr mawiał, że z prostej dziewczyny można zrobić wcale niezłą księżnę. Jest to zupełnie fałszywe. Nabyć pozorów kobiety prawdziwie światowej, szczególnie uczciwej, niema spo-

sobu. One więc zawsze wyglądają, jakby miały łapać mężczyznę, lub jakby się zżymały za niewczesne żarty. I to zupełnie naturalne, przecież nic innego nigdy nie robiły.

Widziałem niedawno jedną z nich, bardzo piękną, dobrze ubraną i nie biedną. Gdy siada do stołu, chwytą spódnicę całą garścią; przechodząc przez mokrą ulicę, cały wierzch unosi do góry; zawija rękawy, siedzi przechylona, gada głosem nie-naturalnym, jest ciągle aktorką na scenie. Wszystkim rozповіда o swoich interesach, mówi, że lubi malarstwo, robi zwierzenia na prawo i na lewo; to przyzwyczajenie do popisywania się swoją osobą. Prawda, że i grubemu jegomościowi to gadulstwo potrzebne, bo czas zapelnia.

W przeddzień jeździła konno i opowiada, że ma na nogach dwie czarne plamy wielkości dłoni. Jeden z obecnych chce bliżej określić miejsce, a że to człowiek niegłupi, więc daje to do zrozumienia, mówiąc niby grzeczność. Ona chciałaby się gniewać, ale się śmieje. Tłómaczy się, mówiąc, że to nerwowe i że w gruncie czuje się obrażoną. Powstaje z tego burza, śmiechy, śpiewy, piski, stukanie szklankami, głośnie krzyki. Ona proponuje mu ludwika, aby tylko cicho siedział i roztwiera portmonetkę, pokazując, że ma ludwika. Oklaski i gwałt. Zatyka niby uszy, ale śmieje się dalej; chce się bronić, ale widać, że do tego nie przywykła. Nazajutrz zrana, przez drzwi uchylone, przyjmuje go boso, w pantoflach. Pachnie to wszystko szynkiem, wykwinności tam nie ma ani śladu.

Niektóre z nich zawierają stosunek trwalszy

i spędzają tu zimę; tworzą się stadła. Wysoka, młda blondynka uszczęśliwia malarza zwierząt, małego, czarnego, o grubym basie. Kontrasty się szukają, ale się nie zawsze z sobą godzą. On ma tu kury, króliki, gołębie, kupę gnoju na podwórzu, trzy owce w ogrodzeniu, a niedawno kupił krówkę; wszystko to beczy, ryczy, piszczy pod oknami, w korytarzach, aż na schodach, które są wprost brudne. Ona, po nad tą menażeryą, leniwie wyciągnięta na brudnej kanapie, złości się i pali papierosy; rozgadałem ją, myślałem, że jest łagodną; wcale nie, jest złą i skarży się na cały głos: „Pierwszy tydzień, to śliczne; pierwszy miesiąc, jeszcze dobrze; po roku, nudy śmiertelne; po dwóch latach można się wściec; czystej spódnicy nie sposób nałożyć“. — On ma tu swój zawód, ukochany, wspaniały las, kolegów, dyskusye o estetyce; ona — tylko gospodarstwo domowe; nie może być kokietką, to jest elegancką i zalotną; musiałaby wyrzec się swego „ja“, do czego zdolną jest Niemka; powinnyby mieć odwagę chodzić z nim codziennie do lasu, ustawiać mu stalugi i przy jego boku złapać fluksyę. — Wynagradzają one to sobie plotkami, kręcą się i wiercą, jak wiewiórki w klatce. „Nigdy nie trzeba kobiety u artysty“ — mówił mi najsprytniejszy z nich. — Jeśli już jest, to niech będzie kucharką.

Wiedząc, z jakich nizin je nieraz wydobyto, możnaby przypuszczać, że są wdzięczne i uległe. Dzieje się przeciwnie — Francuzka ma we krwi pragnienie równości i pewne podniecenie: gdy tylko ma na sobie suknię dostatecznie przyzwoitą i nową, to już uważa się na równi z każdą wielką panią;

umysł jej zbyt jest suchy, duma zbyt porywcza, by mogła odczuć lub uznać czyjaś wyższość; przywykła być punktem środkowym i przewodzić otoczeniu;—mężczyzna nieodmiennie daje się jej powodować, kimby on nie był, kochanek czy mąż, umysł wyższy, czy zwykły kiep, artysta więcej od innych. Ten bowiem, pochłonięty przez sztukę, dla niej najlepsze siły swe traci; ona zaś, wypoczęta całodziennem próżniactwem, jest w pełni sił i walka staje się nierówną.—Spotkałem temi dniami w Paryżu człowieka, którego duma i energia ogólnie są znane, szanowanego, sławnego, do którego nieznajomi zwracają się z szacunkiem, a znajomi przed nim tracą pewność siebie; kochanka jego, trzydziestoletnia gryzетка, niezbyt świeża, więcej niż pospolita, rozprawiała najspokojniej w jego obecności, przecząc mu, wypowiadając swoje zdanie o literaturze i etyce. Byliśmy przez nią opanowani.

Natomiast posiadają oni dziwny dar ludzenia samych siebie. Mój malarz zwierząt powiesił w swej pracowni portret swej rozczochranej blondynki, a zrobił z niej Ofelię.—Znowu inny w jakiejś pomywacze wynalazł natchnioną i poetyczną cygankę.—Przyjechała matka Ofelii, obrzydliwa wiejska bezułka, w białym czepek, ze spiczastym pyskiem. Nieszczęśny posiadacz Ofelii wydobywa z niej holenderską matronę, zającą i naiwną.

W rezultacie niema ich co tak bardzo żałować. Miewają chwile zapomnienia; myślą o tylko co widzianym wspaniałym zachodzie słońca; wieczorem, w płomieniach kominka, migają się im śliczne sceny myśliwskie, amazonki w długich sukniach, z piórem

czerwonem, charty wietrzące, rogi myśliwskie, przewieszane przez ramię dojeżdżaczy. Tym razem obraz się uda, będzie genialnym. A tymczasem rozprawiają o sztuce i uprawiają krytykę. I tak codziennie przez godzin pięć lub sześć zapominają o rzeczywistości.

Nakoniec są oni swobodni, nieskrępowani, wesolość i rozrywki mają nieraz wprost dziecinne. Co wieczór dwóch z nich idzie, gdzie las się zaczyna, grać na rogu, aby mieć przyjemność samych siebie słyszeć, hałasować, nadymać pierś. Jeden z nich ma siedm psów, więc z temi gadanie, trzaskanie z biczków, pieszczoty. Od czasu do czasu urządzają oni wycieczki i bardzo rozsądnie pozostawiają wtedy kobiety w domu. Poszliśmy kiedyś do Moret, ślicznego miasteczka o gotyckim zakroju. Było nas sześcioro, wraz z koniem, na którego po kolei siadano. Obiad w oberży na tarasie, nad brzegiem jakiejś rzeczulki; przy czarnej kawie najzupełniejsze wylanie uczuć. Zniknęły krępujące formy, cały skomplikowany aparat światowych ceremonii; wraca się do stosunków naturalnych, bez udawania i wyrachowania; a że natury to przeważnie dość subtelne, więc w wylaniu się tem nie ma nic brutalnego; na wierzch wypływa zawsze zamięłowanie do piękna; widać, że jest ono szczere, że stanowi grunt i istotę człowieka.—Innej nocy poszliśmy z pochodniami aż do grotty w lesie; smugi falującego światła wspólnie ginęły gdzieś w mroku; ogniste warkocze wily się wśród skał, białą nagle oświetlone piaski.—Prawie co wieczora odwiedzają się oni wzajemnie, częstują się rumem; ktoś siada do fortepianu, reszta

śpiewa jak umie, bez pretensyi do popisywania się; kiedy fałszują, sami się z tego śmieją; ale po za tą muzyką odgadują oni myśl mistrza, odczuwają ją, co się w koncertach światowych nie zawsze spotyka.

Pod wielu względami są oni wyżsi od zwykłych karyerowiczów, a napewno są szczęśliwsi. Poziom ich umysłów jest wyższy, prawie wykwintny, myśl nie jest zwrócona jedynie ku zarabianiu i oszczędzaniu, ku niskim wykrętom handlu, ku gwałtownym lub dotkliwym kłopotom, nieuchronnym przy robieniu kariery lub interesach. Najmniej wyrobiony z pomiędzy nich jeszcze potrafi ładnie ubrać pracownię, rozstawić kwiaty, zrobić coś z niczego. Jest tu ze dwadzieścia chat, urządzonych jak domki mieszkalne i te są śliczne. W urządzeniu wewnętrznym znać myśl twórczą, to nie banalna robota tapicera. Jeden z nich mieszka w stodółce, która na zewnątrz pozostała stodoła, ale wewnątrz pomalowane na szaro-zielony kolor, jest arcy-ciekawym zbiorem szkiców, fajek, broni, popiersi, rogów myśliwskich, ostróg, butów; trochę starych mebli, kanapa z zeszłego wieku, bujalka gimnastyczna. Tuż obok, za przepierzeniem, mieści się koń, a u drzwi psy. Pan domu uprawia myśliwstwo z niemniejszym zapalem jak sztukę; widać po nim, że ciało żyje równie silnie, jak umysł. Drugi ma zbiór porcelany. Trzeci przez lat dziesięć zbierał piękne rzeczy Odrodzenia, meble z czarnego dębu o wykrzywionych nogach, stare książki oprawne w świńską skórę, z wypukłemi figurkami, brązowe półmiski rzeźbione, wyborowe sztychy; naprzeciw kominka „Ukrzyżowanie“ z Antwerpii: oko przykuwają grupy atle-

tyczne, obfitość nagich ciał, wspaniałe niewiasty na klęczkach, o zwojach jasnych włosów. — Prawie wszystkie pracownie otoczone zielonością; zamiast drzew owocowych, w ogrodach widać wysmukłe brzozy, silny młody dębeczak, dzikie wino, wijące się po ścianach glicynie; okna pracowni wychodzą na rozległą równinę, na widnokręgu ciemniej nieuchoma linia boru.

Prawie wszyscy są przyzwoici i towarzyscy; nawet ci, co mają grubsze pozory i brak kultury, odznaczają się wrodzonym sprytem, zdolni są pojmować oryginalność, wdzięk, komizm; wrażliwość ich jest nieprzytępiona, w lot chwytają myśl, pojmują piękno; zmysł naśladownictwa, karykatury, mają we krwi. Znakomicie deklamują scenki z życia, piosenki, anegdoty paryskie; nic nie brakuje, akcent, ruchy, wszystko bez zarzutu; gardłem, nosem, językiem, rękami naśladowują kształty i dźwięki, skrzypienie drzwi, głos wabiącego jelenia; aktorami są z urodzenia. „Jeleń prychał, prychał, brr! brr! potem jak nie pójdzie! aż nas dojrzał! pałatra! pałatra! bęc!“ Jest to język pierwotny, taki, w jakim się opisuje obrazy, drgające życiem; nam go brak, bośmy zbyt wyziębieni. Słuchając ich, wspominam zawsze Merkutia i Benedykta; u nich, również jak u młodzieży Szekspirowskiej, wrażenia są świeże, niewyuczone, wyrazy płyną dziwaczne i barwne. Błazeństwa wyrwywają się im wśród poważnej rozmowy, czasem i nieprzyzwoitości, nie jak w zeszłym stuleciu subtelne i zręczne, ale wcale niedwuznaczne, ogromne, z domieszką poezyi i niedorzeczności, jak u Arystofanesa, czasem sentymentalne; jest to źródło zamulo-

ne, które razem wyrzuca i wodę i błoto.—Ale co się im najlepiej udaje, to szkice. W słotny dzień dwaj wędrujący malarze zamalowali każdy po jednej ścianie w jadalnym pokoju; zbliżka—to kupa farby rozproszanej miotłą; o kroków dziesięć są to dwie sceny wesole, śmiałe, ożywione technieniem młodości. Pierwsza, to uczta Niemców pijących, wszyscy rozwaleni, w długich butach, z fajkami, z nogami metodycznie wyciągniętymi na stole na wysokości okna; śmiać się trzeba z godzinę, patrząc na tę kolekcję olbrzymich butów, wystawionych w świetle ponad pocziwami twarzami; prawdziwie niemiecka postawa, obrachowana na to, aby mózgi wyteńczyć całą zdolność myślenia; tak się filozofuje o absolicie. Drugi namalował gromadkę nagich nimf i satyrów, tańczących na gładkim piasku wybrzeża, w fioletowym pół-mroku, wśród mglistych oparów wieczornych, pod blaskiem gasnącego nieba południowego. Skończywszy obraz, zabrał się do obecnego malarza Holendra, bardzo skromnego młodzieńca, którego miejscowe obyczaje potrosze gorszyły. Powiedział mu, że Holandya leży daleko od Paryża, że się tam napewno jest zacofanym, że dobrze robi, studiując język francuski i moralność w słowniku Napoleona, że tam znajdzie największy wynalazek współczesny, zbiór ustaw przyjętych przez rząd, gdzie postanowiono, aby Francuzi byli ateuszami, że prawdziwym małżeństwem jest cudzołóstwo, i że pierwszym obowiązkiem człowieka jest mordować bliźniego. „Ma pan z sobą pistolety? Ja tu nigdy nie wychodzę bez noża myśliwskiego, a na noc drzwi zarygluję“.

III.

28 września.

W tym lesie wszystko sprawia przyjemność; rozległa równina, pokryta ciernistym, karłowatym jałowcem, skręconym przez wichry, przypłaszczonym na rudawym dywanie z paproci; w środku kłęb ładnych białych brzóz, z których liście już opadły, poprzez gałęzie widać ruchome śniegi chmur; na prawo zastęp świerków o czarnych pniach, jak pikietki wysunęły się naprzód wśród jasnej okolicy; w głębi rysują się łamane linie wzgórz, na których białą plamą odbijają się piaski, a wśród liściastych buków świecą się szczyty skał. Jesienny wiatr gwiżdże a dmie, głucho bureczy wśród nieruchomych szeregów świerków, trzepocze się wśród liści brzóz na polu obnażonych, biednych i drżących jak dzieci. Złote liście spadają po jednym jak skrzydła motyla, wirując w świetle słonecznym.

Patrzy się na te gromady szarych skał w nieładzie rzuconych, wypukle się na wzgórzach zarysowujących, i myśli się o wściekłych pędach wód, które na tych szczytach potworzyły jary i rozdoły. Kraj ten był kiedyś dnem morskim, znać tu jeszcze wszędzie piaski, nagie skały, poszarpane glazy, nie raz jakby podminowane; u wyjścia z wąwozów szeregi kamieni znaczą łożysko wód; gdy te odeszły, pozostała naga, biała pustynia. Powoli słońce opaliło skały, zjawily się mchy, wrastając w ściany chropowatych głazów; potem krzaki, uparte lodygi jałowcu, zaborcze zastępy rozmaitych drzew, a w głębiach wilgotnych dęby, wchłaniając w ciągu stuleci

powietrze pustynne, zapuściły korzenie i wzniosły korony.

Krzewy rozmaite i mchy jesienne pokrywają wzgórza płową sukienką, błyszczącą w słońcu, a przez setki tysięcy szczelin szkielet pierwotnego głazu przerywa tę pokrywę roślinną. Miejscami, na skalistym półkolu widnokregu rzadki łańcuch świerków węzem się wije wśród kamieni i zawieszają się blade warkocze rozrzuconych brzoź.

Możnaby tak ranek cały przesiedzieć, patrząc tylko, nie myśląc o niczem. Nie pragnie się niczego, jest się poprostu szczęśliwym, jak dawni bogowie, bogowie Homera.

Są tu kępy traw, wysokie na cztery stopy, co jak race zielone wzbijają się w górę. Są dęby, których trzech ludzi nie obejmie.

Błękit nieba tak jest jasny i silny, że oczy same wciąż do niego wracają. Powietrze, pełne promieni i blasków, jest jakieś weselne, a czarne, krzywe gałęzie silnie odbijają się w rozlanej jasności, lub od ciemnego błękitu.

Odwieczna, popsuta droga wije się wśród krzaków, a piasek na niej, porysowany czarniawą ziemią, jakby centkowany tysiącami żółędzi, znika prawie pod bujną roślinnością. Słowa nie są w stanie opisać tych traw, których przyrodzonej siły nie skrzywiła żadna kultura; do góry je wzbily soki rodzime, z rozpędem, całymi rodzinami; wśród martwych krzaków błyszczą wesoło, i czasem tylko promień słońca, z boku je zaskoczywszy, rozsypuje wśród cieni snopy szmaragdowe.

I zawsze to samo niebo, świecące przez liście

złociste, niebo dobroczynne, spokojne, z bogów wszystkich najwspanialszy; najwięcej boski.

Co tam malarstwo, poezya! Jaki obraz, jaka książka może się równać z podobnym widokiem? To przecież tylko nędzne naśladownictwo, co najwyżej pociecha dla ludzi uwięzionych.

Wobec tych drzew tak wielkich człowiek sam wielkim się staje; to bohaterowie szczęśliwi i spokojni, na ich widok udziela się szczęście i spokój; chce się im krzyknąć: „Jesteś dębem wspaniałym i potężnym, jesteś silnym, rozkosznym w poczuciu swej siły, w przepychu swych liści“. Brzozy, jesiony, inne wątle stworzenia, to jakby niewiasty zadumane, których myśli nikt nigdy nie uchwycił, myśli nieśmiałej a wdzięcznej, co jakby przymglona dolatuje poprzez szmer rozkołysanych a słabych gałęzi.—Jest słodycz jakaś i zalotność we wklęsłościach cienistych, w gąszczach krzewów różanych, we wstęgach wijących się ścięzek, które gdzieniegdzie dojrzeć się dają, w źródle maleńkiem, co wśród kamieni czernieje i spada nagle z deszczem błyskawic; to jakby spojrzenie zniecianej bożki, co swobodnie się śmieje. Wśród cizy śmiało przemawiają wszystkie te technienia przedudne. A ponad tem co za pogodność i jasność, tam, w nierozwikłanej sieci blasków, które się gniezdzą wśród wierzchołków dębów odwiecznych! Precz tu z troskami! za dębów przykładem się idzie, żyje się!

A lata mijają. Miesiąc temu skończyłem lat pięćdziesiąt cztery, i wieleż jest teraz dni w roku, kiedy, jak dzisiaj, czuję się młodym?

ROZDZIAŁ XX.

MORALNOŚĆ.

Niebardzo to przyjemnie czasem być wujaszkiem, nie tylko dlatego, że każdy siostrzeniec uważa wuję jako nadwornego bankiera—z tem zrobiłem porządek—ale dlatego, że trzeba mu prawić morały. Ma się wtedy minę pedanta, a od tego krok jeden, aby mieć minę głupią. Siostrzeniec spogląda na końce lakierków, kręci w rękę kapelusz i wygląda jak człowiek, który się przypatruje, jak woda płynie. Postawa jego wprawdzie pełna uszanowania, ale w głębi serca myśli sobie: „A czy to wujaszek był lepszy, jak był młody? Gderze za to, że ja powóz wynajmuję miesięcznie, a sam ma własnych dwa. Ja dałem pierścionek za sto franków, on ofiarowuje kolczyki za sto ludwików; twierdzi, że krawiec kosztuje mnie za drogo, a niech noby sam się ubrał w wytarty surdut. No, dzięki Bogu, kazanie

się kończy; będę jeszcze miał czas wpaść do Żorzetki.“

Kiedy chodzi o moralność, słowa nie znaczą nic; same przez się są to tylko dźwięki mniej więcej nieprzyjemne. Siłę i znaczenie daje mu poprzednie wychowanie; jeśli ono musiało w młodej głowie rozwinąć trochę zdrowych pojęć, w takim razie przemawiajmy do rozsądku; jeśli nie, to z równym skutkiem można krzesać iskrę z kłoca. Trzeba przemawiać do uczuć już istniejących, a najpiękniejsze frazesy nie stworzą ich w ciągu kwadransa. Co się tam w tym mózgu dzieje? Oto pytanie, które sobie zadaję, gdy patrzę na niego, jak się rozsiadł w fotelu, zgrabny i wyświeżony, w tuzurku według ostatniej mody, z rozdziałem bez zarzutu, w jasnych rękawiczkach. Przeszedł on przez trzy lub cztery wychowania i tyleż systemów moralności. Jeśli co z niego wyciągną, to nie dzięki swej wymowie, lecz dzięki właśnie tym systemom wychowania i moralności. Spróbujmy się w nich rozejrzeć.

Po pierwsze, katechizm. O tem wspominam tylko dla pamięci. Nosił on wtedy krótkie majteczki i powtarzał na pamięć definicje teologiczne, które mu wywietrzały razem z majteczkami. Zaczął udawać mężczyznę i jedyną troską jego było, aby mundur leżał jaknajlepiej.

Następnie, wychowanie rodzinne. Tam go nauczono nie kłaść palców do nosa, o czem jednak później w szkołach zapomniął. Nauczył się też nie brać palcami z półmiska, jeść mniej więcej przyzwyczajenie i nie gadać za dużo przy stole; z tego wszystkiego coś niecoś mu pozostało.

Potrzenie, szkoła. To wychowanie jest najważniejsze; trzeba rozróżnić wpływ nauczycieli i to, co winien kolegom. O pierwszych niema co wcale mówić; odkąd mógł już samodzielnie myśleć, zaczął z nich drwić. Nasza młodzież francuska nie odznacza się uszanowaniem, nie grzeszy zbytkiem szacunku. Spostrzegł on zaraz, że jeden z nich w nos się skrobie, że drugi kończy zdania, śpiewając jak fałszujący klarnet; dowiedział się, że trzeci ma przygody małżeńskie, że czwarty napisał niegodziwy artykuł, aby dostać order. Ułożyło mu się w głowie, że wszelka administracja i wszelki rząd składa się z ludzi nieprzyjemnych i grubiańskich. Przy rozdawaniu nagród, a także gdy z ojcem chodził do inspektora, słyszał gromkie frazesy o wychowaniu, które jest kapłaństwem. Zaczął ziewać i powiedział sobie, że reklama kwitnie i tutaj, nie gorzej, jak w handlu. Nabral jednak pewnych pojęć o sprawiedliwości; w szkołach pierwszym jest ten, kto na to zasługuje. Po za tem powziął pewien szacunek dla literatury; wszyscy wielcy ludzie, o których słyszał, byli wykształceni; zgadza się z tem, że dobrze jest znać ortografię, że nie trzeba brać Horacego i Wirgiliusza za średniowiecznych mnichów i że pomimo wszystko, Wolter używał pewnego znaczenia w świecie.

Wszystko to razem wzięte nie jest dużo; kole-dzy lepiej mu się przysłużyli. Był on miłusi, czyściutki, trochę wypieszczony; zaczęli go nazywać panielką, dawać mu szturchańce i kazali mu grać w palanta; w ten sposób nabral sił i zmęźniał. Wśród nich też nabral pojęcia a honorze uczniowie z zasady uważają się za związanych solidarnie prze-

ciwko władzom szkolnym, denuncyacye i zdradzenie kolegi w żadnym wypadku nie jest dozwolone; jeśli kara omija winnego, to on zobowiązany sam się przyznać. W ten sposób wyrabia się coś w rodzaju dawnych rzymskich i wojskowych cnót. Inne nabytki mniej się chwala. Przedwcześnie zaczął się hultać; dla pozyskania szacunku kolegów dawał do zrozumienia, że mu się już zdarzają przygody, że któregoś dnia był w knajpce z jakąś szwaczką, wszystko to w wyrazach niezbyt przyzwrotnych i ze wszelkimi szczegółami; jednym słowem, pozował na tężyznę. Zwykła to w tym wieku rzecz; jest to wpływ próżności; działa ona jak upał słoneczny, przy którym owoce trochę się opalają, lecz zarazem dojrzewają. Jest to nasza kultura, innej nie posiadamy. Szkoła jest w swoim rodzaju oddziałem wojskowym, w którym odrazu rozwijają się wszystkie cechy naszego francuskiego charakteru: zmysł ironii, zmysł naśladownictwa, słabość do pleci pięknej, odwaga i inne; chłopiec wychodzi z niej trochę żołnierzem, a trochę hultajem.

Wtedy to zaczął bywać w świecie. Matka kazała mu z sobą jeździć z wizytami; na wsi podczas wakacyi spotykał panie i panny z towarzystwa. Miał lat szesnaście i był bardzo zabawny. Oba wychowania, domowe i szkolne, nie godziły się z sobą. Chciał być uprzejmym i zarazem zachować wygląd o ile można męzki. Koło panien się kręcił, a nic nie miał im do powiedzenia. Przymierzał mnóstwo krawatów i przed lustrem odbywał próby uśmiechania się; lecz gdy zdaleka spostrzegał kolegę, przybierał wyraz srogi i marszczył brwi, by w szkole nie ucho-

dzieć za niewieściucha. W kółku mężczyzn starał się zachować swą godność, lecz chwilami zapominał się i miewał wybryki, jak młody pies. Pił koniak, choć mu nie smakował i palił cygara, po których chorował. Do opowiadania miał tylko anegdotki szkolne, a gdy z nim o szkole mówiono, brał to za drwiny. Wieczorem w salonie z lubością wypinał piers w białej kamizelce, a gdy kto nań patrzył, rumienił się z obawy, czy w stroju nie popełnił jakiego błędu. Był w wiecznym niepokoju i wiecznie strzelał bąki Jednocześnie zaczął studyować gazety i czytać powieści Aleksandra Dumas'a; w głowie jego powstała najzabawniejsza mieszanina. Chciał być i bohaterem i pozytywnym, a raczej na seryo nie chciał niczego; miewał tylko zachcianki. Marzył o rycerzach zbrojnych, unoszących piękne niewiasty na siodle, a zarazem o paryżkich szwaczkach, z którymi po kadrylu można wypić lampkę malagi. Myślał o d'Artagnanie, który się tak dzielnie bije i o swym kuzynie Julku, który na wieczorkach ze szwaczkami tak wspaniale tańczy kankana. Naokoło siebie słyszał hymny pochwalne na cześć bezinteresowności, a widział bujnie kwitnący egoizm. Gazety wymagały poświęcenia dla ojczyzny, a najpoważniejsi mężowie na rozmaite sposoby uchylali się od obowiązków przez prawo wymaganych. Przed oczyma mięły mu niezliczone zdania moralne, napotykanie w książkach, ale używane były chyba dla upiększenia mowy lub pisma, jako ozdoby retoryczne, w rodzaju wazonów na kominku lub figurek saskich w witrynie; innego z nich użytku nie widział nigdy. W praktyce mężczyźni i kobiety myśleli o zabawie,

bez zapалу i namiętności, lecz stosując się do swych przyzwyczajeń i w swem ciasnem kółeczku: polowanie, ogród, stroje, plotki, nie zanadto raniąc sąsiada, bo to niebezpieczne; wystarcza zadrasnąć go i to o ile można w sekrecie i po za jego plecami; to wnosi trochę ożywienia, a nie psuje ogólnej spokojnej harmonii, o którą wszystkim chodzi. Ostrzej występowano tylko przeciw wielkim szaleństwom, lub wielkim głupstwom. Za ogólną zgodą, kto się wyłamuje z pod przyjętych obyczajów, ten się uważa za szalonego; kto nie umie stworzyć sobie lub zachować majątku, ten jest głupi. Po za tem wszystko zostawione do woli; rób co chcesz, nikomu nic do tego, abyś tylko nie stłukł sobie nosa, a bliźniemu nie wybił szyby.

W tym samym czasie zaczęto mu mówić o karierze, i to dość poważnie. „Mężczyzna powinien pracować, powinien mieć stanowisko; cóż znaczy taki, co nic nie robi?“ i t. d. Ale na nieszczęście, zwykle jedno się mówi, a myśli się co innego i naturalnie młodzieniec nasz słyszy to, czego się nie domawia. Któregoś dnia dwie panie rozprawiają o małżeństwie: „Moja droga, trzeba koniecznie, żeby twój zięć obrał sobie jakiś zawód; to jedyny sposób utrzymania ich w domu, inaczej lampartują się.“ Innym razem, o trzeciej po południu, zjawia się notaryusz we fraku i białym krawacie. Obecna przytem Paryżanka uśmiecha się i nachylając się ku sąsiadce mówi: „Myślałam, że tacy notaryusze istnieją już tylko w operetce; śmieszny zawód!“ Oficer na balu stara się być uprzejmym i tańczy ile tylko może; tłómaczą to tem, że wskutek ćwiczeń wojskowych wy-

robił sobie niezwykle duże, silne i sprężyste nogi. Kiedyś w teatrze jeden z bohaterów sztuki mówi o jakimś bogaczu: „Umarł w Marsylii w olejach.“ I mój chłopiec widzi, jak się ironicznie uśmiechają, wszyscy ci, którzy nie są „w olejach.“ Tegoż wieczora, po rozmowie o rozmaitych biurach i urzędach we Francji, ktoś proponuje urządzenie w całym kraju zarządu mechanicznego, z urzędnikami z masy drzewnej, ładnie wystruganymi i wylakierowanymi, każdy z poduszką i w zielonych okularach; w ruch wprawiałaby ich centralna maszyna parowa, kierowana przez ministra. Zużytych urzędników wyrzucałoby się do składu. Byłoby cicho, czysto, robota nie szłaby gorzej, a kosztowałaby taniej. Nie byłoby głupszy od poprzedników; jest to reforma przyszłości. Po za tem z wertowanych książek i albumów z karykaturami nasz młodzieniec nie nabral zbyt wielkiego szacunku dla rozmaitych zawodów. Panowie i panie z towarzystwa chwalą tych, co pracują, ale tak, jakby koń zbyt kowny chwalił konia dorożkarskiego: „pocziwe stworzenie, cierpliwe, pracowite; takich potrzeba, ale starajmy się nie być jednym z nich.“

Przez cały ten czas nabierał pewnego nawyknienia, a to stanowi w życiu główną sprężynę. Według mnie, trzy sprężyny działają na człowieka: mowy urzędowe, które słyszy, te ześlizgują się po powierzchni; szczere słowa, z którymi wypadkiem się spotyka, te już zlekka mogą wprawić w ruch, i nawyknienia, które zapuściły korzenie—te go z posad ruszają, zupełnie nim kierują. Zwyczaj, o którym ja mówię, polegał na wsuwaniu ręki do własnej kie-

szeni. Ponieważ zawsze znajdował tam pieniądze, przyszedł nieznacznie do przekonania, że między pieniędzmi a jego kieszenią istnieje naturalny związek. Wszystko, co widział naokoło siebie, utwierdzało go w tej pięknej zasadzie. Portmonetka matki była zawsze pełna, a szuflada ojca jeszcze pełniejsza. Cóż łatwiejszego, jak żeby ludwiki ślizgały się ztamtąd do jego kieszeni; tylko guziczek do naciśnięcia, lub kluczyk do pokręcenia. Wyobrazić zaś sobie pustkę w portmonetce lub szufladzie, to nie ma sensu i wprost jest niemożliwe. Czyż można sobie wyobrażać, że jutro powietrze stanie się niezdatnem do oddychania, lub że słońce nie wzejdzie? Tak samo było i ze wszystkim innem. W szkole, czy w domu stół zawsze był sam przez się nakryty o tej samej godzinie. Co pół roku szwajcar z ukłonami przynosił pokwitowanie za mieszkanie. Cztery lub pięć razy do roku krawiec przychodził z garniturami i to było tak proste i naturalne, że jeśli jakie spodnie nie leżały jak należy, to krawiec je ze wstydem zabierał i natychmiast przysyłał drugie. I to wszystko szło trybem tak regularnym, jak ruch gwiazd na niebie. Tak, że kiedy w dwudziestym roku życia wszedł w świat, to w nim bezwiednie, po za wszelkimi jego pojęciami i wierzeniami, było głęboko wkorzenione przekonanie, że świat i społeczeństwo winny mu dostarczać dobrych obiadów z dobrem winem na codzień, czasem szampańskiego, przyzwoitego mieszkania, ładnych mebli, zgrabnych garniturów, czterech par rękawiczek na tydzień i pięciuset franków miesięcznie na drobne wydatki. Wtedy kazał sobie wydrukować pierwsze bilety wizytowe i zaczął

uczęszczać na wydział prawny. Jestto znakomity sposób, aby nic nie robić. Przyszedł też do mnie prosić o rady; dalem mu kilka pudełek cygar i sprawdziłem stan jego krawatu i butynków. Po co puste słowa? Życie go wykształci. Mojem zadaniem jest starać się o to, aby się znalazł w okolicznościach kształcących. Niechaj mu prawda życiowa i potrzeba do żywego dopieczy; wtedy dopiero zrozumie opisy ran i cierpień ludzkich. Jeśli teraz spisuję moje pojęcia o życiu, nie dla niego to robię, lecz dla siebie; mogę sobie swobodnie ulżyć, on to czytać będzie dopiero za lat dziesięć.

II.

Moje dziecko drogie, masz rumiane policzki i wchodzisz w życie, jak do jadalni, aby zająć miejsce u stołu. Mylisz się: wszystkie miejsca zajęte. Co jest naturalne, to nie obiad, ale głód. To nie nieszczęście, ale szczęście sprzeciwia się prawom natury. Przeznaczeniem człowieka, jak i zwierzęcia, jest być zamordowanym, lub umrzeć z głodu.

Jeśli ci się to wydaje dziwnem, to dlatego, że nie żyłeś, jak ja w kraju, gdzie prawda i obluda zupełnie nago dają się każdemu oglądać. Przypomnij sobie nasz spacer w lesie parę dni temu. Deptaliśmy po mrówkach, które się pod naszym obuwem przewijały. Śliczne ptaszki latały, aby polukać złote muszki, większe owady pożerały mniejsze. Znaleźliśmy między zielenią małego zajączka z rozdartymi wnętrznościami; jastrząb go schwycił przy pierwszym wyjściu na świat, zjadł go w po-

łowie i skórę zostawił; w niej znowu pracowały mrówki, Żuki, tysiące zgłodniałych istot. Na dzień sięcioro nowonarodzonych dorasta jedno, a i to ma dwadzieścia szans przeciw jednej, że starości nie doczeka; zima, deszcz, drapieżne zwierzęta, rozmaite przypadki czyhają na nie. Złamane zrana skrzydło lub łapka gotują mu pewną śmierć na wieczór. Jaśli cudem zostanie przy życiu, to przy pierwszej chorobie, albo poprostu z wiekiem zakopie się w norze i zdechnie z głodu. I nie buntuje się przeciw temu, lecz ze spokojem poddaje się sile losu. Patrz na chorego konia, psa, lub ptaszka. Kładą się cierpliwie i nie skarżąc się, znoszą przeznaczenie. Otóż na świecie wszystko tak się odbywa, jak w tym wspańiałym i pachnącym lesie. Cierpi się i to jest w porządku rzeczy; nie przemienia się siły przyrody, aby zaoszczędzić twych delikatnych nerwów i serca. Ludzie zabijają się i zjadają wzajemnie i nic w tem dziwnego; niema dość żeru dla tylu żołądków.

Jeśli chcesz życie zrozumieć, niechże to będzie punktem wyjścia i jakby podstawą wszelkich Twych poglądów i dążeń. Ty do niczego nie masz prawa i nikt ci nic nie winien, ani społeczeństwo, ani przyroda. Jeśli będziesz u nich szukał szczęścia, jesteś głupi; jeśli ci się wyda niesprawiedliwością, że ci go nie dają, to jesteś jeszcze głupszy. Chciałbyś być szanowanym, to jeszcze żaden powód, aby cię szanowano. Zimno ci, ale to nie powód, aby ciepło i wygodne odzienie samo się na twoich plecach ułożyło. Jesteś zakochany, to nie powód, by cię kochano. Są niezmiennie prawa, którym podlegają sława, miłość, dobrobyt. One cię otaczają, panują

nad tobą, jak powietrze zepsute lub czyste, którem oddychasz, jak pory roku, które nie pytając się ciebie, mrozą cię lub palą. Jesteś wpośród wielu biedną, słabą istotą, jakby szczur między słoniami; patrz-że bacznie, gdzie one nogę postawią, unikaj ich zwykłych ścieżek; ostrożnie zbieraj okruszyny z ich zapasów; ale nie bądź na tyle śmiesznym, aby się dziwić, że nie są one na twoje usługi, że ich olbrzymie cielska ruszają się, nie myśląc o tobie. Co ci życie da, to darowane; setki więcej wartych od ciebie zostało zmiażdżonych zaraz po przyjściu na świat. Jeżeli w norze swej znajdziesz jaki zapas ziarna, to podziękuj ojcu, który z narażeniem życia to zebrał. Jeśli ci się trafi jaka chwila dobra, uważaj ją jako szczęśliwy przypadek; niedostatek, niepokój i nuda, wspólny z bólem i niebezpieczeństwem, będą ci nieodmiennie towarzyszyły w twej norze i w dzień i w nocy. Dobrze ci w niej, wydaje ci się trwać; prawda, jest nią aż do chwili, gdy jednemu z olbrzymów zdarzy się zalać ją wodą, lub łapę na niej postawić. Zresztą, czy to się zdarzy po trzech tygodniach, czy po trzech miesiącach, czy jeszcze później, skutek ten sam. Twe drobne ciało wpadnie pod ten straszny galop kiedyś, gdy wyrzysz wieczorem, by zachód słoneczny zobaczyć, lub rankiem, gdy na żer się wybierzesz. Szczęście twoje, jeżeli cię odrazu zgniecie całego! Nic prawie nie poczujesz i to jest, co mogę życzyć najlepszemu tobie, tym, których kocham, samemu sobie. Ale prawdopodobnie śmierć będzie cię zabierać częściowo i za pierwszym razem wrócisz z jakim członkiem nadwerżonym, ślad swój krwią znacząc po piasku. Następny

galop zmiażdży ci głowę i pierś, a nazajutrz będzie kolej na drugich. Doświadczenie i rozum wszystkich szczurów świata nie wynalazły jeszcze na to lekarstwa: co najwyżej, po tylu stuleciach ród szczurzy potrafił zbadać niektóre obyczaje słoni, poznać ich ścieżki, przewidzieć po pewnych odgłosach chwilę ich wyjścia lub powrotu; trochę mniej ich ginie pod olbrzymimi stopami, niż przed pięćdziesięciu wiekami, ale giną i będą ginąć. Wyrabiaj w sobie zręczność, biedny szczurze, jeśli chcesz; szczęścia ci z tego nie wiele przybędzie; raczej staraj się, o ile można, wyrobić w sobie cierpliwość i odwagę. Przyzwyczajaj się znosić z godnością to, co jest nieuniknionem. Nie wij się z bólu, nie okazuj nic po sobie. Po co śmieszyć sąsiadów? Zachowaj sobie prawo do własnego szacunku, kiedy nie możesz się uwolnić od konieczności cierpienia. Z czasem grube łapy słoni i to wszystko, co one sprawiają, będzie ci się wydawało porządkiem rzeczy. Najlepszym owocem naszej nauki jest zimna rezygnacja, która duszę uspakaja i cierpienie ogranicza bólem fizycznym.

Gdybyż jeszcze słabi żyli w zgodzie między sobą! Mówiono ci, powtarzano ci nieraz, że w każdej rodzinie zwierząt wszystkie są zjednoczone, wszystkie pracują dla wspólnego dobra, wszystkie dochowują warunków pierwotnej umowy i że wyłamujących się srogo się karze. To fałsz i powinieśś wiedzieć, że to jest fałsz. Inaczej przy pierwszym doświadczeniu życiowym zacząłbyś uważać zasady twego wychowania jako kłamstwo i albo zostałbyś obłudnikiem, albobys się zbuntował. Ani jedno ani drugie nie jest dobre; patrz śmiało prawdzie w oczy.

Człowiek z natury i z budowy jest zwierzęciem i pierwszy ten ślad natury i budowy nie da się nigdy zatrzeć. Ma zęby jak pies i jak lis i jak pies i jak lis wpijał je od samego początku w cudze mięso. Potomkowie jego kamiennymi nożami walczyli na śmierć o kawałek surowej ryby. I teraz jeszcze nie przerobił się on, złagodniał tylko. Wojna panuje jak dawniej, lecz podlega pewnym ograniczeniom: każdy walczy o swój kawałek ryby, ale pod okiem żandarma i już nie nożem kamiennym. Wszelkich rzeczy jest tylko ograniczony zapas i ze wszech stron wyciągają się po nie pożądliwe ręce. Spójrz na wielkie miasto i na to mrowisko ludzi, które się tam gniecie. Każdy od rana już rusza na łowy, z rodziną i ze sługami, z przyjaciółmi i opiekunami, jedni tuż przy nas, drudzy niedaleko na zawołanie; jak tylko zwierzyna ukaże się na widnokręgu, wszyscy przygotowują się i rzucają się na swoje stanowiska; przynęty, sieci, broń dozwolona, a czasem i niedozwolona, psy gończe i psy legawe, wszystko i wszyscy pracują z panem domu na czele; bo jeść trzeba. Pamiętaj więc o jedzeniu i wiedz, że zjesz tylko to, co upolujesz. Zwierzyny mało, myśliwych zaś dużo. Wstawaj wcześniej od innych, kładź się później, chodź prędzej, miej lepszy węch, zbierz więcej przyjaciół, psów i broni, pilnuj dobrze torby wracając, broń miej zawsze nabitą, aby ci gdzie z za węgla jaki myśliwy mniej fortunny nie próbował zdobywszy odebrać; niech wiedzą, że jesteś odważny i że umiesz się bronić; nawet przy pierwszej napaści broń się silniej niż potrzeba; niechaj cię szanują i tylko przy takich warunkach będziesz

miał co jeść. To jest rada dla wszystkich, a oto druga, przeznaczona tylko dla niektórych: Nie prosz o nic; żebrak, to nieśmiały złodziej. Przyjmuj rzadko: człowiek zobowiązany jest na polu niewolnikiem. Czyż jesteś tak słaby ciałem i duszą, że musisz żyć z cudzej pracy? Ceń wysoko samego siebie i nie bądź zwykłym obżartusem. Jak swoje zrobisz i będziesz miał wieczerzę zapewnioną, ustąp miejsca innym. Po co ci nabierać za dużo ciężaru. i utrudniać sobie drogę? Po co masz zbierać więcej, niż zdołasz zjeść? Czyż wypada, abyś bez korzyści dla siebie przyswajał sobie zdobycz, której innego biedaka pozbawisz? Kto cię zmusza męczyć się w pocie czoła przez dzień cały, jak najemnik, jeśli o dziewiątej zrana masz już zapas na cały dzień? Spójrz naokoło siebie, oto masz zajęcia mniej zwierzęce: patrz i myśl. Rozległa równina świeci się w blaskach słońca, które ją ogrzewa; girlandy drzew tak łagodnie odcinają się na lazurze niebios; zapach świerków, jak kadzidło, wzbija się w górę po dywanie mchów i paproci. I oto przeszła ci godzina i przez tę godzinę, rzecz dziwna! nie byłeś zwierzęciem; wieszuję ci, możesz się prawie pochwalić, żeś żył.

ROZDZIAŁ XXI.

O ROZMOWIE.

W zeszły czwartek, w klubie, B. powiada do kilku z nas: „Żenię się, ładna, uczciwa, dobrze wychowana, z dobrej rodziny; będziemy mieli we dwoje ze czterdzieści tysięcy na początek“. Winszujemy mu.

Wychodząc, spotyka dawnego kolegę, Maksę A., który pośpiesznie wsiadając do powozu, rzuca mu te słowa: „Jak się masz, mój drogi? Wiesz, żenię się! cztery miliony, mój drogi, cztery miliony!“

B. wraca do nas i opowiada nam to z markotnym wyrazem twarzy: „Przecież i ja wart jestem tyleż, co Maks. Tam do dyabła! niepotrzebniem się śpieszy!“

N. ofiarowuje wspaniały naszyjnik z pereł panie Leontynie z Opery i winszujemy mu tych pięknych ramion, które on tak ozdobił. „Phil! te, czy

inne!“ — „Więc, wogóle, chodzi ci o ramiona?“ — „I to nie; jestem dobrym ojcem rodziny; cóż chcecie, mam już troje dzieci; czwarte zrobiłoby im krzywdę; robiąc głupstwa po za domem, nie robię ich w domu“.

Emil S., adwokat, dał nam dzisiaj treściwy zarys swojego zawodu. Prawo, to wspaniały posąg, przed którym się kłaniają i następnie przechodzi się mimo; prawodawstwo zmienia się co lat dwadzieścia. Ponieważ do każdej sprawy można zastosować dziesięć dawniejszych wyroków za i dziesięć przeciw, więc sędzia wybiera dowolnie, przyczem bezwiednie, lub nie, zawsze kieruje się w wyborze względami osobistymi i domowymi.

Nigdy nie trzeba bronić sprawy czysto abstrakcyjnie, jak gdyby się stało przed nagą sprawiedliwością; przeciwnie, trzeba uwydatnić pewien dowód lub argument, zastosowany do człowieka, mającego wydać wyrok. Jeden był rejent czuły jest na motywy z postępowania sądowego; drugi, autor kilku książek, daje się ująć uwagami ogólnymi; ten jest klerykałem, tamten liberałem, ten lubi dobrze żyć, tamtego żona oszukuje. Trzeba poruszyć odpowiednią strunę. Najwięcej rozpowszechniony sposób jest zmęczyć sędziego, zalać go potokiem sprzecznych dowodzeń, tak, żeby grunt pod sobą stracił, wciągnąć go w wir wyjaśnień, cytat, powag; na końcu dopiero, w ostatniej odpowiedzi, podać mu deskę ratunku, to jest jaki prosty argument, bardzo jasny, stanowczy, za któryby się mógł uchwycić. Na dzie-

sięciu sędziów dziewięciu jest pomarszczonych, spuchniętych, włosy farbowane, cera trupia lub rozpalona. U żadnej innej klasy ludzi twarz nie jest tak wykrzywioną, pomarszczoną, zwiędłą, zużyta, tak udręczoną, a to dlatego, że siedzą całymi dniami nieruchomi, milcząc, gryząc końce pióra, bezbronni wobec adwokackiego świdra, wierzącego ich na mocy prawa przez godzin dwie lub trzy. To jest ta męka wewnętrzna, która wykrzywia im usta i z której lysieją. Wzamian adwokatowi nakazują milczenie, jak lokajowi.

Rozmowa o rozmaitych sztukach na giełdzie i o sztuczkach loretek; nie warto o tem mówić; podstępny to zbyt banalny. Na przykład w znanej restauracji numery gabinetów zaczynają się od numeru 20. Cyfra ta w rachunku dodaje się do sumy ogólnej. Po dobrym obiedzie i po szampańskim jest się trochę wzruszonym; oczy biegną za damą; która właśnie nakłada kapelusz; rachunku nie sprawdza się wcale, albo sprawdza się źle; słowem, płaci się. Jeśli nie uda się podstęp, służący woła: „Ach, proszę pana! To ten przeklęty numer 20! Prosta pomyłka w kasie!” Na tych pomyłkach właściciel zarabia dwadzieścia pięć tysięcy franków rocznie. Czasem znowu towarzyszka, idąc z tyłu, daje znak służącemu, że chce dziesięć franków dla siebie; ten woła: „Proszę dopilnować taki-to numer!” Ceny się trochę podnoszą, co daje z łatwością dziesięć franków i t. p.

Wszystko to jest pospolite; oto mamy coś wię-

cej nowego. W Normandii, gdy dwóch chłopów porozumie się co do granic swych posiadłości, robią na miedzy jamę na sześć stóp głębokości, kładą tam „znak“, na przykład butelki, nakrywają to ziemią, a na wierzchu stawiają widoczny słupek. Obaj są złodzieje i chcieliby słupek posunąć; w takim razie „znak“ jest świadkiem. Otóż nieraz już pierwszej nocy chytrzejszy z nich wstaje, wyjmując butelki, zakopuje je o dziesięć metrów dalej w polu sąsiada, a słupek pozostawia na miejscu. Po roku skarży się, że słupek ruszono z miejsca. Następuje śledztwo, sprawdzenie; odnajdują „znak“—okradziony uchodzi za złodzieja. Pokazuje się, że *Czerwony Trzewik* Henryka Muergera i *Chłopi* Balzaka, to obrazki z życia.

Trzy czwarte rozmów w Paryżu mają ten charakter sceptyczny. Jakie są różne sposoby zarabiania rocznie pięćdziesięciu tysięcy, wyzyskując ludzką głupotę? Jak się bierze do tego finansista, loretki, działacz polityczny? Jak się ja sam mam wziąć do tego? Jeżeli należę do „towarzystwa“, to jedyną moją regułą jest nie uchybić zasadom honoru. Jeżeli jestem aferzystą, to dbam jedynie o to, aby nie wpaść pod łapę kodeksu. Jeśli się zajmuję czynnie polityką, to myślę głównie o tem, aby w razie wypadku wpaść znowu na dobrą posadę. Takich jest kilka rodzajów, szczególnie w finansach, np. poborcy podatków. Nie dawno byłem w biurze poborcy mojego okręgu. „Niema go, proszę pana“.—Kiedyż bardzo potrzebuję go widzieć.—„To niemożliwe, proszę pana“.—O której tu bywa? — „Nigdy, proszę pana“. Całą robotę robi stary kancelista, do miejsca zaś

przywiązana jest pensja dwudziestu pięciu tysięcy franków. Później dowiedziałem się, że mój poborca to lew salonowy; układa wiersze, ma ładne buciki i kilka nadzwyczajnych kamizelek.

Rozmowa psuje ludzi. Między mężczyznami wyrabia cynizm, bo trzeba uchodzić za doświadczonego, zdolnego do zgłębienia rzeczy, wolnego od złudzeń. Między kobietą a mężczyzną wyradza się sceptycyzm, bo trzeba drwić ze wszystkiego, nawet z rzeczy poważnych. Świat stwarza ludzi światowych, to jest mężczyznę i kobietę, dwoje popsutych dzieci, co się wzajemnie psują. Ona się wszystkim bawi jak cackiem, on je łamie, by zobaczyć, co jest w środku.

Zawsze to lepiej niż etykieta, wszystko jest lepsze od etykiety. Chodźcie na rękach, zrzućcie surdut, buty i co się wam jeszcze podoba, byle nie powtarzać oklepanych zdań. W zeszłym roku urządziłem u siebie wieczór, bardzo udatny; mieszkanie było przybrane podzwrotnikowymi roślinami, roznoszono zaś mało znane w Paryżu południowe wino. Po tygodniu miałem ochotę ztąd uciekać; nie mogłem wejść do salonu, by mi kto nie palnął komplementu, zawsze tego samego, i to mnie doprowadzało do wściekłości. Gdy się do mnie zbliżał mężczyzna lub kobieta, przewidywałem jego słowa, jego grymas, rodzaj i stopień uśmiechu, przymrużanie oczu, zmarszczenie ust, kręgowanie się całej osoby, modulacje głosu. Nie widziałem już przed sobą myślącej ludzkiej głowy, ale mizdrzący się małpi

pyszczek, albo skoki pajaca, którego ciągną za sznurek. Skończyło się na tem, że i ze mnie zrobiła się podobna maszynka; ułożyłem sobie frazes z małemi odmianami, który sam z siebie wypływał w odpowiedzi na komplementa; powtarzałem go więc, przysłuchując się własnemu głosowi, lub rachując breloki u danej osoby. Człowiek powinienby mieć sekretarza, którego obowiązkiem byłoby co wieczór od 10-ej do 12-ej wysłuchiwać w salonach komplementy i odpowiadać na nie.

Zróbmy małą statystykę: na pięćdziesiąt osób tu zebranych, ilu jest takich, których rozmowa jest zabawną i zajmującą.

Dwadzieścia pięć z nich to ludzie przyzwoici, zwykle nakręcone katarynki. Nic rzadszego w przyrodzie, jak oryginalność, a wychowanie jeszcze ją przygłusza; przyzwoitość krępuje umysł i duszę; nie ma się odwagi wykonać jakiegokolwiek ruchu z obawy, aby się nie zdradzić i nie narazić. Przez dni piętnaście powtarza się zdanie, będące w modzie, przez następnych dni piętnaście jakie inne, co je zastąpi. Są zawsze dwa zdania możliwe o Afrykance, dwa o mowie p. Thiers'a, dwa o Meksyku, dwa o Akademii, dwa o każdej ludzkiej rzeczy; zależnie od osoby, usłyszy się jedno lub drugie, czasem anegdotkę, lecz zdania szczerego i osobistego nigdy. Brak własnego wrażenia; oczy widziały, uszy słyszały, pamięć zachowuje, przyzwoitość dyktuje, usta wymawiają, po za tem—nic.

U kobiet to jeszcze widoczniejsze, niż u męż-

czyzn. Wszedłszy do sieni pełnej krzewów i kwiatów, spostrzegł wśród śnieżnych marmurów i wspinalych dywanów wchodzące po stopniach kobiety; ramiona obnażone, we włosach lśnią dyamenty, bogate suknie jedwabne; one, pachnące, dumne, rozrzucone po schodach jak pawie wielobarwne, lub ogniste ptaki podzwrotnikowe. Zpośród nich zauważyłeś dwie lub trzy, które zrobiwszy kilka kroków, zebrały się razem jak w bukiet. Jedna rozkwitła w białej ozdobnej sukni, wyglądała jak Wenejanka z czasów Odrodzenia; z miękkiego atlasu stanika wylaniały się ramiona, jak z perłowej masy, bogate zaś zwoje jasnych włosów ozdabiała jedynie koronkowa przepaska. Druga, wysoka, smukła jak Dyana, szła w długich fałdach swej jasnej sukni; stanik, ozdobiony w hafty srebrzyste, przywoził na myśl bohaterskiego huzara; szła prędko, suknia za nią drgała, jak stola u biegnącej bogini, a we włosach białe kamienie tworzące bukiet, migotały jak szpady. Ostatnia, wątła, chuda, z głową naprzód wysuniętą, z noskiem szpiczastym, z ustami drgającymi, o bladych oczach i włosach, jakby potarganych pod dyamentami, z całej swej osoby zdaje się wyrzucać snopy iskier i błyskawic; siedząc, czy stojąc, nie dotyka ziemi; delikatna jej postać drga co chwila od ognia wewnętrznego, od nieposkromionych porywów nerwowych; naokoło cienkiej szyi naszyjnik dyamentowy skrzy się jak obręcz z żywych oczu, niby blade świecące oczy węzów czarodziejskich. Rozmawiają i widać, że są pod urokiem tej rozmowy. Czego by się nie dało, żeby mózgi je podsłuchać. A jak podejdiesz, przekonasz się, że rozprawiają o rącz-

kach od parasolek; jedna ją woli z hebanu, a druga z perłowej masy.

Trzydzieści osób, to figury urzędowe, które muszą zachowywać pewne ostrożności; one i jeszcze kilkanaście myślą tylko o tem, żeby nie utracić swej posady, lub wspiąć się wyżej. Z dziesięciu mężczyzn i tyleż kobiet mają córki na wydaniu. Wszyscy oni powtarzają lekcję, żywego słowa z nich nie wydobędziesz; o wszystkich przedmiotach ciekawszych mówią jak duchowny, z którym miało się niezręczność zacząć rozmowę o religii; postępują wedle przepisów, starają się o względy pana i pani domu, każą się przedstawiać ważniejszym figurom, unikają twierdzeń stanowczych, nad kwestyami delikatnemi prześlizgują się, dochodzą do szczytu poprawności. Nicość, czy też obluda? Jakżeż można wymagać, aby mówili szczerze i stanowczo, kiedy im chodzi tylko o kieszeń? Zresztą po kilku latach nie zadają już sobie przymusu; pod wpływem konieczności inicjatywa i pomysłowość zniknęły; nie mają już swego zdania do utajenia lub wypowiedzenia; umysł ukształtował się według warunków zewnętrznych; przemawia już nie człowiek, lecz jego zawód i miejsce. Dziennikarz powtarza z powagą artykuły ze swej gazety; dorobkiewicz został klerykałem i ma baczne oko na niebezpieczną literaturę; ojciec rodziny, mający córki na wydaniu, twierdzi, że młodzież jest niemoralną. O zakład można iść, że na sto zdań, wypowiedzianych w ciągu półgodziny przez tych pięćdziesiąt osób, niema sześciu szczerzych; tamte dziewięćdziesiąt cztery, to jak scena z Molierowskiej komedyi. Przycisnąć sprężynę,

a katarynka zagra znaną piosenkę. Proszę zapytać o malarstwo malarza, nawet wybitnego; będzie chwalił innych malarzy, o ile są do niego podobni. Tak samo muzyk, literat: gdy sądzą innych, rykoszetem sami siebie chwala. Trudno wypowiedzieć, jak daleko to sięga. Zagadajmy w kółku uczonych lub polityków o sztuce; według nich, to dobre dla próżniaków. Mówimy o nauce w pracowni artysty lub na zebraniu u polityków; według nich, jest to psucie papieru. Zagadajmy o polityce na obiedzie uczonych lub artystów; według nich, to gadulstwo poważnych intrygantów. Każdy z nich instynktownie poniża drugich, a to w celu, aby siebie o tyle podwyższyć. Kiedy rozmowa wchodzi na takie tory, odczuwam potrzebę odetchnięcia świeżym powietrzem i wynoszę się z pokoju. Gadajcie, co tylko chcecie, ale nie powracajcie zawsze do swej osoby i na miłość Boską, porzućcie reklamę. Inaczej salon staje się kramem kupczących, którzy kłamią, kłaniają się, naciągają kupujących.

Po za tem doliczam pięciu lub sześciu debiutantów i debutantek, którzy myślą jeno o tem, czy włosy ich dobrze zaczesane i czy ukłon ich był poprawny. Ci nie mówią nic; rozmowa z nimi kończy się prędko. Jeżeli salon jest poważny, to jest jeszcze z dziesięciu figurantów, początkujących prawników, młodych urzędników z krawatami bez zarzutu, chudych referendarzy, dojrzałych naczelników biur, przychodzących od czasu do czasu złożyć swe uszanowanie. Ci zachowują milczenie ostrożne lub skromne, stoją jak posągi, grzeją się przy kominku, przyglądają się portretom, kręcą w ręku broszury; nie-

którzy przerzucają album z fotografiami, lub bawią się szkiełkiem; wszyscy mają wyraz twarzy niewesoły. A jeszcze pod ścianami widać pół tuzina beczulek płci żeńskiej ze świata urzędniczego lub handlowego, w atlasach i jedwabiach, gdzieindziej sowa oskubana, lub szkielet szpiczasty w kwiaty oprawny; to są szczątki i odpadki. Pani domu posadziła je tam i przemówiła do nich kilka słów, ale ja pania domu nie jestem; tem lepiej dla mnie, tem gorzej dla niej.

Potrąciwszy to wszystko, pozostaje pięć lub sześć osób, które rozmawiają, aby rozmawiać, które z przyjemnością rozwijają jakąś myśl, rozprawiają nie krępując się, swobodnie i bez ostrożności. Ci gubią się w tłumie, jak maki w zbożu. Wokoło nich kwitnie próżność i interes, rozkoszują się dorobkowicze i aktorki. Aż słabo się robi, patrząc na wybiegi myśli i słowa, których się używa, by rozmowę naprowadzić na temat swojej osoby. Mój sąsiad przy stole zjada rybę, ale smaku jej nawet nie czuje; obmyśla frazesy, który zręcznie wstawio ny w przerwę rozmowy, zwróciłby uwagę na jego obraz lub książkę.

Czy statystyka moja dowodzi, że rozmowa światowa jest nudną? Wcale nie.

Uprzejmość, nawet kłamana, jest zawsze miłą; więc Filiut ma sto razy rację, a Alcest jest głupi. Gdzieindziej żyjemy na stopie wojennej; współzawodnictwo w zawodzie, w karierze, niesnaski rodzinne, niezgodność charakterów. Na szczęście, umó-

wiliśmy się, że od siódmej wieczorem do dwunastej w nocy, mężczyźni z białym sznurkiem na szyi, a kobiety z obnażonymi ramionami będą korzystać z rozejmu, lepiej nawet, że każdy będzie nadskakującym, uśmiechniętym, niewyczerpanym w okazywaniu szacunku, uszanowania, podziwu, sympatii dla drugich i to jak można najsprytniej i najweselsiej. To komedia tylko, a pięć, czy sześć razy w ciągu wieczora miewa się chwile złudzenia; proszę wynaleźć coś lepszego, jeśli to możebne. Ponieważ szczęście i piękność nie istnieją, więc wynaleziono sztukę, która dostarcza nam ich obrazu. Ponieważ dobroć i bezinteresowność nie istnieją, wynaleziono życie towarzyskie, które nam daje ich pozory. Proszę spróbować obejść się bez tego wszystkiego, przejechać się do Stanów Zjednoczonych, proszę tam zobaczyć, jak Yankes zajada przy *table d'hôte* z kapeluszem na głowie i puszczając dym z cygara w nos sąsiadowi, twierdzi tonem wyroczni: „Nędzny stary świat, ta wasza Europa! Zbiór fagasów i próchna! Ale wolna Ameryka zmiecie to plugastwo!“ Słowo honoru, że wolę Chińczyka, mego przyjaciela mandaryna Tchang-li w Shang-haju, uroczyste kłaniającego mi się do samej ziemi, który w piątek przyjmuje mnie postnym obiadem, mówiąc: „Zastosujemy się do przepisów pańskiej znakomitej religii, która o tyle jest wyższą od mojej“...

Po za tem, jeśli się ma oczy, można robić spostrzeżenia. Rysy próżności lub obludy stają się rysami charakteru i słowa, które jako zdania niecierpliwią, zaciekawiają, jeśli uważać je jako szczególne cechy danego osobnika. Niejeden, ociężały i dzi-

wacny, objawia się jako wcale rzadki i ciekawy okaz. W pewnym wieku, kiedy się serce od wielu rzeczy oderwało, a umysł zwraca więcej uwagi na treść niż na formę, wtedy moralna i towarzyska botanika stanowi znakomitą rozrywkę. Nie chodzi już o to, by usłyszeć, co o tem mówią, chce się samej rzeczy dotknąć; życie więcej sprawia przyjemności, niż literatura; woli się scenę obyczajową od jej opisu. Obecnie sprawia mi tyleż przyjemności rozmowa w wagonie z kupcem, studentem, oficerem, jak powieść, nawet dobra, lub wieczór w teatrze. Zeszłego roku, w okolicach Fontainebleau, znalazłem się kiedyś popołudniu, podczas deszczu w lesie i przez trzy godziny gawędziłem z leśnikiem, który grzał się pod bukiem, trzymając chłopca swego między kolanami. W szarem powietrzu dym się kłębił od ogniska i słychać było tylko, jak padały krople deszczu na liście. Człowiek ten był zadowolony ze swego stanu i chciał, aby jego chłopiec, jak dorośnie, wstąpił w jego ślady. Dają im domek i ogród; mogą sobie zabić królika na własny użytek, a nawet zamienić go u rzeźnika na prawdziwe mięso; mają tyleż od zabitej wiewiórki, kuny i lisa; stanowi to razem jakie tysiąc pięćset franków rocznie. Zawód to zdrowy, szanowany, polowanie zawsze sprawia przyjemność, dziewczęta zbierają buczynę i t. d. Słuchałem tego wszystkiego, patrzyłem na malca, dzikiego i rzeźkiego jak żreback i zdawało mi się, że czytam powieść

Nakoniec, od czasu do czasu, w tłumie tych stworzeń suchych lub wysuszonych spotyka się istotę czującą; przynajmniej z jakiegoś ruchu,

z brzmienia głosu, szczególnie u bardzo młodych, wyobraźnia wysuwa to, co poeci nazywają duszą, to jest istotę świeżą i namiętą, czującą po swojemu, z wiarą w siebie, nie zmuszoną zapożyczać się i naśladować, żyjącą życiem samotnem a bogatym, którą przyciągnąć nie łatwo, chyba nagłym i niespodzianym porywem zapału wrzącego a powściąganego, ze wzrokiem w dal sięgającym, zdolną do objęcia całego szeregu wydarzeń i ich skutków. Czasem taka bogata i subtelna natura zdaje się przeświecać u kobiety z rysów twarzy i głębi oczu; w takim razie prawdziwy znawca nie nalega; siada w kącie i snuje nić marzeń. Mężczyźni sprawiają czasami podobne wrażenie, ale na to trzeba ich spotkać w chwili dobrego usposobienia, lub postarać się o to, żeby lody stosunków światowych były przełamane. Zdarzało mi się to nieraz, szczególnie w Paryżu, będącym rodzajem stałej wystawy, otwartej wiecznie dla Europy. Ostatni człowiek tego typu, którego widziałem, to był Eugeniusz Delacroix. Nikt prawdziwiej i silniej nie odczuwał widomej przyrody; pokazując mi własnoręczną kopię „Zmartwychwstania“ Rubensa, mówił mi: „Niech pan patrzy na tego trupa, tłustego, bladego, rozlazłego, z opadłą szczęką, jak w amfiteatrze; to trup, i trup limfatyczny; jeden Rubens znał gruntownie temperamenty. Widział pan w Monachium jego obraz, przedstawiający potępieńców, olbrzymów, szatanów, z głowami lwów i bawołów, a którzy nie są lwami, ani bawołami. On jeden znał zwierzęce upodlenia, zwierzęce pochodzenie człowieka. Jeden z katów w „Ukrzyżowaniu“ w Antwerpii jest łysym gorylem. Oto jest

nasze zadanie: pokazać bezwzględna i ukrytą prawdę każdej rzeczy. Wyszedszy ze szkół, wziąłem się do nauk, chciałem wiedzieć wszystko, układałem zielniki, studiowałem wschodnie języki; ale wolę sztukę; sztuka więcej obejmuje. Uczony wie, że za lat pięćdziesiąt będzie wyprzedzonym. On przebywa w przedsionku przyrody; czasem drzwi się uchylą, spostrzeżę się wspaniały widok, ale drzwi się zamykają ze słowami: „Dosyć, resztę zostaw drugim“.

Ja sam, patrząc na ten geniusz jego, któremu ręka tak źle służyła, w duszy porównywałem go do wielkich malarzy ciał z XVI wieku. Należy on do tej samej rodziny, lecz na swoją biedę urodził się w złem otoczeniu, jak mamut nawpół zamarzły, obezwładniony nastaniem okresu lodowatego.

Dwie lub trzy podobne rozmowy, ożywione ruchem i błyskiem oka, płacą za ukradkowe ziewanie, salonową pańszczyznę i ukłony urzędowe.

ROZDZIAŁ XXII.

SPOŁECZEŃSTWO.

Kiedym spędzał zimę w Londynie, zdarzało mi się nieraz około pierwszej w nocy brać dorożkę. Woźnica siedzi 'z tyłu, niewidoczny i długie nogi konia ruchem mechanicznym i ostrym ciągną cię gwałtownie naprzód, nie wiadomo dokąd, ani po co. Człowiek miał rozkaz nie zatrzymywać się i nie mówić; zwykle wracałem przez Londyn-Brigde i przez Strand. Wątpię, aby był na świecie widok równie wspaniały i równie wstrząsający.

Życie zagasło; pozostało olbrzymie cmentarzy-sko. Gdzieniegdzie, we wklęsłości murów, policyant stoi sztywny i milczący, jak stróż umarłych; od czasu do czasu niewyraźnie przesuwają się w mroku jakaś nieszczęśliwa kobieta, jakieś widma we frakach wytartych. Trupio-błady księżyc rzuca mętne światło ponad powietrzem przesiąkniętem ludzkimi wyziewami. Nie jest to sen miasta południowego,

rozkosznie odpoczywającego w objęciach cichej przyrody. To zapach istoty znękaną gorączką i udręczeniem; to niezdrowe czuwanie, przy blaskach pochodni obok łoża, nad którem zaciążyła śmierć.

Nieustannie, niaskończenie jednostajne ulice wydłużają szeregi olbrzymich domów; ulica za ulicą i znowu ulice bez końca; potem skwery, place, wszystkie nieznane, wszystkie w bladawym oświetleniu tajemnicze, milczące, ze swymi galeryami, kolumnami, rzeźbami, chodnikami, których zarysy niespodzianie się rozwijają lub płaczą. Rzekłbyś, że im dalej zagłębiamy się w otchłań ludzką, tem więcej się ona rozszerza. A wszystko to puste. Gdy pełnia życia tam kipi, nie znać wtedy tego ogromu. Kiedy się przejeżdża przez olbrzymie mosty, zgroza podwaja się; słychać plusk rzeki błyszczącej we mgle, a na jej cuchnącym grzbiecie wznoszą się kadłuby okrętów, ocierające się jedne o drugie na ruchliwej powierzchni wody. Promienie gazu drgają w wirach wodnych i odbłaski ich, jak krzywe kolumny, walają się, gubią się gdzieś w nieskończoności. Na prawo, na lewo, w górze, w dole, odgaduje się pod tem grobowym sklepieniem ciemności i świateł, olbrzymi łamany szereg poczerniałych budowli i fabryk. Tyle kamieni i cegieł, tyle budynków i wynalazków, takie nagromadzenie wyrachowania i 'pracy, walczących z sobą, w ciągłym podnieceniu, przyczem ani jedna chwila rozejmu lub wytchnienia nie łagodzi i nie zawiesza tej walki zawziętej. Jutro zrana z legowisk znowu wypełzną mrowiska i walka rozpocznie się jeszcze ostrzejsza, aby w dniu następnym jeszcze się więcej rozjątrzyć. Najposępniejszą jednak

jest myśl, że walka ta będzie się toczyła według stałych prawideł, na placu odmierzonej, podzielonej i zamkniętej, każdy człowiek w swoim przedziale, z góry już uginający się pod ciężarem tradycji i rzemiosła, nie mniej mechaniczny i sztuczny, jak olbrzymie jego murowane więzienie. Za dużo dziś ludzi na świecie, za ciasno, za wiele wysiłków.

Tego samego wrażenia, chociaż w mniejszym stopniu, doznaję czasem w nocy w Paryżu. Taki to wygląd ma nasz świat współczesny. Wobec nadzwyczajnego powiększenia gmachu ludzkiego gruntu niegdyś wolne zostały objęte w zagrodenie. Wobec nadzwyczajnego pomnożenia ilości współzawodników, tłum zapelniał obręb murów; jednostka upada pod wagą tej bryły, więzi ją ustalony porządek. Dawniej, nawet nie tak bardzo dawno, człowiek dobrej woli łatwo się przebijał i wybierał sobie drogę. Szeregi były rzadkie i były miejsca po za szeregami. W r. 1800 ojciec mój z bardzo pośrednią znajomością matematyki okazał się znakomitym inżynierem i byłby zrobił majątek, gdyby nie wolał spacerować i tańczyć. W lat trzydzieści później miejsca już były pozajmowane i ja musiałem jechać do Ameryki. Dzisiaj, gdyby mój siostrzeniec, p. Anatol Durand, czy też du Rand, nie miał mnie po za sobą, to przez całe życie pozostałby nadetatowym. Świat dziś podobny jest do tłumy, który pcha się na placu Zgody w dniu, gdy puszczają fajerwerki. Pojedynczy człowiek czuje się tam zgubionym i zgniecionym; sił mu nie starczy. Ani siłą, ani zrzecznością naprzód się nie przebiję; musi iść w szeregu, krok za krokiem, pod okiem stojkowego. Ten

tłum nadzwyczajny, ruchliwy, pociąga go w swem falowaniu lub więzi w swej nieruchomości. Z jednej strony kieruje nim, z drugiej dusi go. Po niejakich wysiłkach godzi się on z losem; odtąd poddaje się życiu, przestaje być jego panem.

I.

Nie rozbijają już na wielkich drogach z mieczami w rękę. Znaleźli, że ten sposób rozstrzygania kto ma posiadać pieniądze i wszelkie dobre rzeczy, jest zbyt prostym. Przyjęli następne sposoby:

Pierwszy sposób jest legalny — to *konkurs*. — Przyjaciel mój, Edward S., sam człowiek wybitny, ale miernej fortuny, ma syna pracowitego, lecz średnich zdolności; syn ten, po dziesięciu latach nauki, skończywszy uniwersytet, staje do egzaminu na posadę nadetatową w ministerium finansów; zapisało się kandydatów dwustu czterdziestu czterech, a miejsc wolnych jest trzynaście. Tych trzynastu szczęśliwców będzie pobierać rocznie przez lat dwa po sto pięćdziesiąt franków wynagrodzenia, wzamian za co będą musieli przepisywać papiery po osiem godzin dziennie. Po dwóch latach, jeśli się będą dobrze sprawowali, dościgną szczytu powodzenia, będą mogli drukować na biletach wizytowych tytuł urzędnika i pobierać będą po sto franków miesięcznie. Spotkałem niedawno dawnego kolegę, doktora N., byłego asystenta, ze złotym medalem, docenta, chirurga przy szpitalach i t. d. Od lat trzydziestu ten biedak ubiega się o krzesło profesorskie. Ponieważ lubi porządek, więc od lat dziesięciu zapisuje wi-

zyty u swoich sędziów i ich zastępców; zrobił wi-
zyt tych trzy tysiące siedemset dwadzieścia pięć.
Oprócz tego od kiedy został asystentem układu
mnóstwo zeszytów z adnotacyami, uwagami, od-
nośnikami, których się uczy na pamięć i ciągle po-
wtarza; ponieważ egzamin składa się z próbnej
lekcji, odczytanej po paru godzinach przygotowania
z odpowiedzi na zapytania stawiane na wryw-
ki i t. p., więc trzeba ciągle mieć w głowie jak
największą ilość formułek i wiedzy z każdego, choć-
by najmniejszego działu tej olbrzymiej dziedziny,
jaką stanowią nauki lekarskie i przyrodnicze. Z te-
go powodu kandydaci dzielą z góry przed-
miot na działki, robią zwięzłe streszczenia i opy-
chają się tem; z tego powstaje coś jakby kupka nie-
strawnych kamyczków, któremi ładują umysł i która
nie daje im spokoju, gdyż skutek swego ciężaru
ma stałą skłonność do uchodzenia przez wszelkie
szpary z pamięci. Przy takiej robocie przyjaciół
mój przechodził wszystkie stopnie; teraz dąży do
najwyższego i osiąga go, jeżeli apopleksya nie obali
go, jak przepracowanego konia roboczego.

Pomijam setki rysów podobnych. Konkurs strze-
że wejścia do każdej karyery, w wojsku, w mary-
narce, w nauczaniu, w ministeryach, w rozmaitych
gałęziach przemysłu prywatnego i publicznego. Jest
to kołowrotek, już nie podwójny, ale potrójny, po-
czwórnny, albo nawet nieprzerwanie i bez końca się
powtarzający, przez klasyfikacye, przez stopnie
i przez tablice promocyi, we wszystkich większych
szkołach rządowych, w całej administracyi i w ca-
łem wojsku. Pamiętajmy, że co chwila trafia się

konkurs specjalny; oficer znajduje go na swej dro-
dze, aby zostać majorem, lub wejść do intendentu-
ry; artysta, aby wstąpić i pozostać w szkole Sztuk
Pięknych, aby być wysłanym do Rzymu albo być
przyjętym na wystawę, lub tam dostać medal pierw-
szy, drugi, trzeci, наконец krzyż. A oto za pomo-
cą rozmaitych innych wystaw konkurs opanowuje
zawody niezależne. Hrabia X. chce mieć nagrodę za
krowy, jego kuzynka, księżna Z., otrzymuje list po-
chwalny za grupę indyków. — Takim to obecnie
jest świat: wchłania on całkowicie życie ludzkie, jak
paczkę surowej bawełny, która, wrzucona do ma-
szyn u wejścia do dużej fabryki, staje się akuracie,
niezawodnie, po przejściu przez rozmaite koleje, ni-
cią, tkaniną, materyą, ścierką lub chustką, gotową
ścierać kurze, lub obetrzeć nos pierwszego, kto się
trafi. Nawet obroty kołowrotka są przewidziane:
oficer prawie napewno wie już z góry, czy do-
szedłszy do lat pięćdziesięciu będzie pułkowni-
kiem czy generałem. — Nie powiem, abym ganił
ten system sam w sobie; trzeba przecież jakiegoś
się trzymać, a ten nie gorszy od innych; w każdym
stowarzyszeniu trzeba wyróżniać z masy właścicieli
znaczniejszych losów, a sposoby wyróżniania róż-
nią się według kraju. Ale różniąc się między so-
bą, wyrabiają rozmaite zdolności. W kraju Lilipu-
tów, gdzie, aby zająć wysoko, trzeba tańczyć na li-
nie, była to zapewne elastyczność łydek. W Chinach,
gdzie potrzeba celować w znajomości starych teks-
tów i wierszy łacińskich, to pedantyzm klasycz-
ny. We Francyi znużenie mózgowe i łatwość wy-
mowy. Proszę się przyjrzeć olbrzymiej i machinal-

nej pracy kandydatów, którzy się ubiegają o wstęp do wyższych szkół, a potem, po wyjściu z nich, jakie to głębokie zmęczenie, osłabienie, co za próżnowanie w kawiarni lub w domu, co za bezwładność biurokratyczna lub prowincjonalna! Porównajmy ucznia szkoły Politechnicznej, przykutego do formułek przez czternaście godzin na dobę, i inżyniera, który z żoną pod rękę, ziewając, idzie się przypatrywać, czy mu kamienie tłuką jak należy. Przy tym natłoku w zawodach i uregulowaniu przebiegu dochodzimy do tego, że nasze wyścigowce najprzód tracą dech i robią się z nich dorożkarskie szkapę. — Wchodź tu, mój drogi, jeśli jesteś cierpliwy i chcesz ciągnąć dorożkę, a jeśli masz nerwy i chcesz zachować ruchy wyścigowca, to szukaj innej drogi.

II.

Pozostaje drugi sposób dojścia do czegoś. Ten jest już nielegalny: reklama, czyli sztuka zwrócenia uwagi na siebie. Nic niema trudniejszego. Za Ludwika XV Ginguené, jeśli się nie mylę, został sławnym dzięki jednemu wierszowi: *Spowiedź Zulmy*. Salonów było wtedy jakie sto, dzisiaj jest ich jakie trzy tysiące. Nie przemawia się już do szczupłego grona wybranych, ale do całego narodu. Jak tu zrobić, żeby sto tysięcy osób zapamiętało moje nazwisko? Tembardziej, że pamięć ich już przeladowana; za dużo nazwisk ubiega się o uwagę; co lat trzy, czy cztery, tysiące malarzy na wystawach, przez sześć miesięcy setki muzykantów, którzy wieczorem brzęczą jak owady przy świetle lamp; co dnia

w dwudziestu przeglądach i pięćdziesięciu dziennikach cały lupek literatów; wszyscy usiłują za pomocą niezliczonych artykułów, koncertów, obrazów, zdobyć kącik w twojej przepelnionej pamięci; to też przelewa się w niej i po pewnym czasie nie przyjmuje już ona nic. Adwokat, lekarz, architekt, kupiec, póki, jak to dawniej bywało, trzymaliście się swego kółka rodzinnego, mogliście zadowalać wymagania; gorzej czy lepiej ceniono was; złe czy dobre, ale i w świecie i w opinii mieliście swoje miejsce. W Paryżu go nie macie, nie znają was; jesteście jak w hotelu, numer taki a taki, to jest paltot i kapelusz, które zrana wychodzą, wracają wieczorem. Takich paltotów i kapeluszy jest dwadzieścia tysięcy. Jakiż tu wynaleźć znak lub kokardkę, aby mnie poznawano? Jaki kolor dość krzyczący, jaki znak dość niezwykły odróżni mnie od dwudziestu tysięcy innych znaków i kolorów? Trzeba „ciągnąć oko“, po za tem niema zbawienia. Trzeba się nazywać Floridorem Barbeucroche lub Eufemiuszem Quatresows, takich nazwisk się nie zapomina; kto wypadkowo jest murzynem, a co najmniej mulatem, temu już na dobre winszować można; dowodem jest powodzenie „czarnego“ doktora. Trzeba napisać referat o chorobach wina Bordeaux, założyć bankiet „przyjaciół wina“, palnąć mowę przy deserze, wydrukować ją kosztem towarzystwa, dodać do tego rozprawę o higienie dzieci, nie zapominając o kilku dobranych słowach pod adresem matek i posłać to wszystko pocztą każdemu z żonatych członków towarzystwa. Jest to abecadło rzemiosła i to każdego rzemiosła. Proszę tylko przejrzeć i zważyć, nietylko

czwartą stronicę, ale każdą pochwałę lub krytykę w jakim dzienniku lub przeglądzie, aby zobaczyć te tysiące i setki tysięcy rąk ludzi, tonących w obojętności ogółu, którzy chwytają się za najmniejszą sposobność zwrócenia uwagi, aby wypłynąć na powierzchnię i odetchnąć przy świetle dziennem. I to nie próżność, to potrzeba; dziś rozgłos, zarówno jak i czas, to pieniądze. Przypuszczam, że zwykle sprzedawałeś pan swoje obrazy po tysiąc pięćset franków; po trzech wzmiankach odpowiednio podpisanych w trzech wybitnych dziennikach, dodawszy trochę starań u handlarzy, sprzeda pan następny, zupełnie do tamtych podobny, za cztery tysiące. Każdy przedmiot handlu, czy to blacha cynkowa, czy klimatopompa, piecyk bezdymny, czy wyrób z hipopotama, zyskuje tylu a tylu kupujących na każdym wierszu ogłoszeń; stosunek to znany. Taki a taki artykuł żywności, takie a takie lekarstwo, które się napotyka codziennie, wszędzie, dużymi literami, małymi literami, na murach, w dziennikach, w kolei, w kawiarni, u siebie, u drugich, koniecznie, fatalnie wbije się w pamięć. Nie chciałeś o niem czytać, a przeczytałeś; starałeś się zapomnieć, a znasz je na pamięć; drwiłeś z niego głośno, to mu jeszcze dodało rozgłosu. Niechże zajdzie potrzeba danego przedmiotu, nie masz pod ręką poradnika, drugiego nazwania nie przypominasz sobie, pilno ci, myślisz na koniec, że ponieważ ten jest znanym, więc musi być tyle wart, co i inny i idziesz pod danym adresem, kupujesz, połykasz, a następnym razem dzieje się to samo. Zeszłego roku widziałem na prowincyi ludzi, którzy dzieci leczyli środkami doktora Leroy, jak w r. 1820;

nazwisko zakorzenia się w pamięci; równie trudno z niej się wydobyć, jak i dostać się do niej.

Pod tym względem mam nadzieję, że moje doświadczenie będzie się mogło przydać moim współczesnym. Jakiegokolwiekby byłyby talenta wielkich domów handlowych, grających codziennie na trąbie na czwartej stronicy dzienników, przypuszczam, że praktyka amerykańska nauczy ich czegokolwiek i chociaż skromność moja może na tem ucierpieć, opowiem sposoby ogłaszania się, jakimi „Towarzystwo wyrobu olejów mineralnych i solonej wieprzowiny Fryderyk Tomasz Graindorge i Komp. (New-York, Broad Street, 121, i Cincinnati. National-Square 397)“ zdobyło klientelę świata cywilizowanego. Ofiarowałem udział w moich interesach sławnemu Barnum'owi, który podjął się tej operacji i przeprowadził ją ze zwykłym u niego bogactwem pomysłów. Nie mówię już o zwyczajnych sposobach: zakupno w większych dziennikach dwóch stronic tygodniowo, rysunki w małych, rozdawanie reklam na rogach ulic, medale na wystawach, chodzące afisze i t. d. Pierwszy pomysł Barnuma był mistrzowski. Był on wtedy impresariem Jenny Lind i kazał skomponować piosenkę o olejach, solonej wieprzowinie i Ameryce, którą komik śpiewał następnie na zakończenie koncertu; była to mała muzyczka po wielkiej i można sobie wyobrazić zadowolenie słuchaczy, zmordowanych wzniosłą muzyką, a dbających o boską śpiewaczkę, jak o nosorożca. Otóż na programach było zaznaczone, że narodowe to blażństwo zostało skomponowane i po raz pierwszy odśpiewane w zakładach Fryderyka Tomasza Grain-

dorge'a i Komp. Za pomocą odpowiedniej zachęty kazaliśmy napisać kilka fars, a nawet dwa dramaty, gdzie piosenka ta znalazła miejsce; jeden z nich przez miesiąc nie schodził ze sceny. Barnum wymógł prócz tego, żeby stały fotograf Jenny Lind zawijał fotografie artystki w przedruki piosenki i zrobił umowę z głównym przedsiębiorstwem katarynek w New-Yorku, aby każda katarynka grała ją co najmniej dwa razy dziennie. Jednocześnie niektóre przeglądy i dzienniki zajęły się nią z punktu widzenia estetyki, wykazały, że jest ona owocem gleby rodzinnej, porównywały ją z piosenkami Burus'a i Berangera, a biorąc pod uwagę sztuki teatralne, które jej służyły jako ramki, roztrząsały pytanie, czy to nie narodziny nowej literatury, szczerze przemysłowej, przez którą Ameryka wzniosłaby się ponad wszystkie narody. Jedna z tych jadłodajni, w których stojąc pochłania się butersznyt i grogi, otwartą została bardzo wystawnie pod firmą: „Wieprzowina solona narodowa, rozmaita i zdrowa, Fryderyka Tomasza Graindorge i Kom.“ W tym samym czasie ze zdziwieniem przeczytałem we wszystkich dziennikach o strasznych wypadkach w moich kopalniach i o kilku czynach bohaterских samego Fryderyka Tomasza Graindorge'a, który wybawił około pięćdziesięciu osób, prawie już ogarniętych przez płomienie; cytowano też inne genialne rysy tegoż samego Fryderyka Tomasza, noszącego się z zamiarem wykupienia wszystkich kopalni nafty, aby owdładać rynkami europejskimi. W sześć miesięcy wynalazł Barnum między posługaczkami w mojej fabryce starą murzynkę idyotkę, mającą słabość do

whisky, ale która, jak się okazało, była mamką Waschingtona; obwieźli ją po Stanach Zjednoczonych, zaznaczając jej pochodzenie i wykazując za pomocą wielkiej ilości świadectw lekarskich, że tylko codzienny użytek wieprzowiny mógł przy tak ciężkich warunkach życia, zachować ją do tak późnej starości. Nakoniec (przytaczam już tylko jeden z niezliczonych pomysłów kochanego Barnuma) w rok później wyszło zabawne abecadło, w cenie jednego pensa, w którym wielkie litery, barwnie malowane, wyobrażały świnię stojącą, leżącą, żywą, poćwiartowaną, pojedną, po kilka, w najdziwniejszych postawach i z naiwnymi lub śmiesznymi wierszami jako godło. Zwierzęta te miały dużo wyrazu; rysownik potrafił wydobyć z ich uszu, z kręconego ogonka, z ryja, nadzwyczajne efekta; zręczne przymówki polityczne w wierszach zwracały uwagę ludzi dojrzałych. Nie potrzebuję dodawać, że imię Fryderyka - Tomasza Graindorge'a znajdowało się na okładce, w międzywierszach, na każdym wolnym miejscu, z widokami fabryki, krajobrazu, robotników, narzędzi i t. d. — W pięć lat sprzedano dwakroć sto tysięcy egzemplarzy, a że tego rodzaju książki przechodzą z pokolenia na pokolenie, to możebnem jest, że za lat pięćdziesiąt wielu małych Amerykanów będzie się jeszcze uczyło czytać z „Abecadła wieprzowego“ p. Graindorge'a. Barnum, spostrzegłszy, że piękne dawne oprawy są ze świńskiej skóry, miał już traktować z wielkim wydawcą religijnym w New-Yorku o to, aby oprawić w ten sposób wielką ilość Biblij, z nazwiskiem Fryderyka Tomasza Graindorge'a, pomieszczone w dole wypukłemi literami, alem go

odwiódł od tej myśli, bo nie chciałem mieszać do tego świętości.

Zresztą, w tego rodzaju operacjach niezbędnym jest Barnum, współnik do bicia w bęben; samemu krzyczeć nie jest przyjemnie. We Francyi, między ludźmi więcej subtelnyimi, szczególnie w zawodach wyzwolonych, blaga jest więcej odrażającą niż po tamtej stronie wody. Robiłem to tam, tutaj bym tego nie zrobił; dla wieprzowiny było mi to tylko napół wstrętnem, ale sprawiałoby mi obrzydzenie sprzedawać w ten sposób obraz, lub zyskiwać chorych. A jednak jest to potrzebne. Tysiąc pięćset lekarzy w Paryżu nie zarabia po tysiąc dwieście franków rocznie, a muszą co dzień być we fraku i w białym krawacie. Dwa tysiące malarzy maluje parawany, szyldy, obrazki po pięć franków na wywóz, fotografują i marzą o kopii z Luwru.

Obydwa sposoby dorobienia się, konkurs i reklama, doprowadzają do jednakowych skutków. Wymęczają, podniecają i psują człowieka. Konkurs daje znużone woły robocze, reklama zaś szarlatanów i intrygantów. Gdybym miał do wychowania i kierowania młodego człowieka miernej fortuny, chciałbym go wybawić od jednego i drugiego. Kazałbym mu uczyć się nie martwych języków, literatury, nauk czystych, które tworzą taki ciężki rozdźwięk między naszymi dążeniami a środkami i dzięki którym pierwsze sześć lat naszej młodości podobnemi są do zlatywania z szóstego piętra po schodach na nosie lub plecach—ale gimnastyki, fechtunku, pływania, wladania strzelbą i rewolwerem, paru języków nowożytnych, tak, aby mógł niemi mówić i pi-

sać, geografii szczegółowej i rozumowanej, głównych zarysów statystyki handlowej i przemysłowej. Gdyby był pracowitym, uczciwym i odważnym, zrobiłby, jak dziesiątki młodych ludzi z Rotterdamu, z Hamburga, z Glasgowa, z Genewy, których znałem i w ślady których powinienbym być pójść; wróciłby po dziesięciu latach z przyzwoitym majątkiem i ożeniłby się z przyjaciółką lat dziecinnych; znalazłby świat, wyszumiałby się dzięki trudom fizycznym, byłby zdrow moralnie. Nie chorowałby na *spleen*, jak ja i nie byłby zużytym smarkaczem, ociężałym światowcem, jak mój siostrzeniec Anatol Durand, którego miejsce na wystawie fryzjera, lub w roli zrezygnowanego i ogłupiałego małżonka.

ROZDZIAŁ XXIII.

Z TYGODNIA.

Gdy po dziesięciu latach bezpłodności kobieta w wieku lat trzydziestu pięciu lub czterdziestu, należąca do klas wyższych lub średnich, wyda na świat dziecko, to można iść o zakład, że jest to skutek tragedii rodzinnej. Czasem winien kochanek, czasem znowu mąż starał się ustrzedz ognisko domowe od obcych; innym razem trzeba było ratować się od grożącej choroby umysłowej. Poprzez gładką powierzchnię życia filisterskiego dramat wewnętrzny pękl jak wrzód.

Szaleństwo nie jest państwem ściśle odgraniczonym; dotykamy się go w życiu codziennym, nie raz drobną częstką nas samych wkraczamy w jego dziedzinę. Główną rzeczą nie jest uciec przed nim, ale nie dać się wciągnąć zupełnie.

Żadna istota ludzka nie rozumie drugiej istoty ludzkiej; co najwyżej znoszą się wzajemnie przez przyzwyczajenie, cierpliwość, interes lub przyjaźń.

Rozwijać w kobiecie rozsądek, myśl, rozum, to dawać nóż do ręki nieletniemu dziecku.

Dziecko dla matki, to człowiek jeszcze nieokreślony, którym można kierować; wyobraźnia pracuje tu bez ograniczeń, jest to, jednym słowem, ideał w skróceniu. Dlatego w oczach matki mąż schodzi na drugi plan, potrzebnym jest jeno do zabezpieczenia bytu dziecka, staje się czemś w rodzaju głównego sługi.

Zmieniły się władze w małżeństwie. Z powodu złagodnienia charakterów, mężczyzna nie jest już dość stanowczym, by znieść smutek kobiety; ustępuje, bo mu jej żal. Z powodu zwiększenia się pracy, mężczyzna jest zbyt zmęczonym, by walczyć z upartą wolą kobiety; ustępuje dla spokoju.

Nadskakująca uprzejmość, urzędowa wesołość solonów i ciągła grzeczność światowa; żadnych wynurzań, prawie żadnego oddania się; dużo względów i dość znaczna ilość wzajemnych usług, lecz w gruncie rzeczy zupełna niezawisłość — oto jest małżeństwo w XIX wieku; coś jak dwóch partnerów przy partyi wista; grają wspólnie, pomagają sobie wzajemnie bardzo uprzejmie, ale nic więcej. Według mnie, jestto prawdziwe małżeństwo francuskie; więcej lub mniej łączności nie odpowiada charakterowi rasy. Tylko, że wtedy potrzeba, aby każde, jak w wieku XVIII, miało swoje pokoje, swoją służbę, jednym słowem sto tysięcy doohodu.

Każda rasa po swojemu pojmuje wstydlivość; dla Angielki to obowiązek, dla Francuzki kwestya przyzwoitości. Proszę posłuchać, jak uczciwe kobiety mówią pół-słówkami, niby to nie nie powiedział-

Iy, a dały wszystko to zrozumienia: dlaczego pani B. ma za mało dzieci, dlaczego pani A. ma ich za dużo? Matka tej ostatniej delikatnie ostrzega zięcia. Dama z towarzystwa każe sobie objaśnić talenta kokotek. Młody mój przyjaciel, Maurycy S., aby przyspieszyć swe powodzenie, dawał zawsze do zrozumienia, że ma dużo władzy nad sobą, Przyzwoitość jest tu jak szlafroczek muslinowy, elegancik, cały w koronkach, szczelnie zamknięty; lecz wiatr dmuchnął, albo ktoś przeszedł, szlafroczek roztwiera, lub pozwalają go roztworzyć, lub zresztą roztwiera się sam.

Tyle jest rodzajów miłości, co ras. Długi, wysoki Niemiec, uczony, cnotliwy, flegmatyczny, powiedział: „Dusze, to siostry z nieba spadłe, które się nagle poznają i biegną ku sobie“. Na to Francuz, mały, krwisty, sprytny, zgrabny: „Ma pan rację, na każdą nogę można znaleźć obuwie“.

Każda rasa ma swoją wyobraźnię; zobaczymy jak przysłowia określają szczęśliwego człowieka:

Francuz mówi: „Urodził się uczesany“. Ufryzowanie, elegancja, światowość i przyjemności światowe.

Anglik mówi: „Urodził się ze srebrną łyżką w ustach“. Pozytywizm, żarłoczność, dobre trawienie, dbałość o wygodę, o pozory, o pieniądze.

Niemiec mówi: „Urodził się w skórze szczęścia“. Nieokreślone, sentymentalne i poziome, czuć kuchnią. Kielbaśnik idealista.

Kokotka we właściwym tego słowa znaczeniu, elegancka kobietka naszych małych teatrzyków, rzad-

kiem jest zjawiskiem w Berlinie. Zdarzają się zdrady małżeńskie, po za tem dość dużo jest kokotek niższego gatunku, nic więcej. I to jeszcze ta ostatnia musi mieć jakiś zawód; kobieta lub dziewczyna, mieszkająca samotnie, musi udowodnić, że ma fach lub majątek. Młody człowiek, który u siebie trzyma kochankę, musi ją zameldować jako służącą.

W Wiedniu jest moc drobnych urzędników, pobierających minimalną pensję. W głównym zarządzie dóbr księcia Esterhazego służy ich około pięćdziesięciu; mieszkają na czwartym piętrze, a córki chcą mieć kapelusze, chodzić na tańce, patrzeć na różowe latarnie i słuchać muzyki w „Lustgartenach“. To też panuje tu zupełna swoboda, dobry humor, zmysłowość zlekka czułościowa i trochę sentymentalna. Pogada się ze starszą kobietą i nazajutrz wchodzi ci do pokoju młoda mieszcza, z minką skromną, z książką do nabożeństwa w ręku. Jeśli ją zatrzymasz przez miesiąc, zakocha się na pewno.

Bardzo mało kokotek jest w Anglii, chociaż gatunek ten zaczyna się rozmnażać. Londyn, nieznanie wprawdzie, ale francuzieje. Z wyjątkiem ohydnej wystawy wieczorem w Haymarket i kilku zbytkownych przybytków w Hyde-parku, światek dwuznaczny prawie nie istnieje. Niektórzy młodzi ludzie mają stosunek gdzieś na uboczu; jeśli się z nimi zaprzyjaźni, to po znaczniejszym przeciągu czasu, i zawsze z pewnem wahaniem się, proponują: „Pojedziemy do mojej „little girl“, jest ona zupełnie „lady“. Na spotkanie wychodzi przyzwoita młoda kobieta, córka drobnego dzierżawcy lub guwernantka, robi honory domu zupełnie poważnie i rumieniłaby się przy jakim słówku dwuznacznem.

We Włoszech, w Hiszpanii zachowały się obyczaje czasów Dekadencji. Młodemu architektowi na przyjeździe vetturino powiada ze znaczącym uśmiechem: „Pan młody, ja znam bardzo porządną rodzinę, jedź pan ze mną”. Zastaje przy stole ojca, matkę, parę dzieci, młodą dziewczynę. Kłania się, wszyscy mu ukłon oddają; młoda dziewczyna przechodzi z nim do drugiego pokoju, a ojciec z powagą siada napowrót na swoje miejsce. To się robi dla posagu, lub żeby pomagać rodzinie.

W rezultacie kokotka to produkt francuski, który kwitnie i obficie się mnoży tylko w Paryżu. My miłość, jak i wszystko, umiemy przyprawić po swojemu; oto dlaczego bogaci cudzoziemcy tak chętnie tu pieniądze wydają. Niektóre z tych dziewcząt bogacą się, wychodzą na prowincyi za mąż, mają swe ławki w kościele. Zapewne, niejedna kończy żywot jako gałganiarka lub w szpitalu. Lecz większość chwytą się jakiego dwuznacznego fachu: sprzedają rękawiczki, zarządzają hotelami, siedzą za bufetami i t. p.—W Anglii kobieta upadła jest jak błoto uliczne: depcze się po niem i zmiata się je; u nas ona się dźwiga, oswobadza, urządza się i nie raz wybija się zupełnie.

Dwie oznaki czasu: lekceważenie kobiet i zamięłowanie w zbieraniu rozmaitej starzyzny.

W salonie, po obiedzie opuszcza się kobiety i idzie się palić.—Dwóch młodych ludzi w przedziale wagonowym zapala cygara, aby kobiety nie wchodziły. Młody człowiek, który robi głupstwa, przyjmuje kilku współników, to taniej kosztuje. Od kochanki wymaga on bezmyślnej paplaniny, głośnego

śmiechu, tłustych żartów, pieprznych słówek. Ona spada coraz niżej, traci wszelką delikatność, oplaca kelnerów, by jej klientów przysyłali, nie robi różnicy między starcem i młodym człowiekiem, najwykwintniejszemu młodzieńcowi daje za rywala lampiarza z teatru, lubi dobre obiady i zbiera kapitały. Miłość przybiera ton bezczelny i pozytywny, sposób bywa gwałtowny i zimny, przyprawa pieprzna, bez żadnych osłon, jakby tem dobrze kierował kapral, który odrazu chce kilkoletni żołd przehulać, lub handlarz skór z Rio-Janeiro, który przybywa z pełnym workiem i wyobraźnią rozognioną opowiadania miłymi komiwojażerów.

Porcelany, emalie, rysunki, malowidła, chin-szczyznę, broń, wszystko się dzisiaj zbiera; nie jest to już mania starców, bo młodzież, kobiety jej podlegają. Jeśli jakie zamięłowanie panuje jeszcze nad innemi, to do form wykręcanych, do elegancji dwuznacznego XVIII wieku. Gust osobisty zanika zupełnie; zadawaliśmy się gustem naszych dziadów; sami nie tworzymy nic; wystarcza nam to, co stworzyli dziadowie. I jest to już nawet nie zamięłowanie, lecz sposób odznaczenia się, zabicia czasu i wydania pieniędzy, potrzeba zapełnienia pólek, dokompletowania zbioru.

Kobieta i dzieło sztuki są twórcami pokrewnemi, ten sam upadek względem jednej i względem drugiego; też sama niemoc w kochaniu i tworzeniu. Niema już snów, które wyobraźnia lub złuda mogłyby w pewne kształty wcielić. Dąży się do posiadania i do wystawy.

Mężczyzna czterdziestoletni mawiał: „Miłość

sprowadziłem do czynności fizycznej, a czynność tę zredukowałem do minimum“. Na to dwudziestopięcioletni młodzieniec: „Zamiast minimum, powiedzmy maximum, na to zgoda“. Mężczyzna trzydziestopięcioletni zakończył: „Maximum, czy minimum, na sercu pozostaje kamień, i można się udusić.“

W wieku od dwudziestu do trzydziestu lat człowiek z wielkim trudem stara się zabić swój ideał; potem żyje w spokoju, lub wydaje mu się, że żyje w spokoju; lecz jest to spokój dziewczynymatki, która swe dziecko zabiła.

Aby mieć pojęcie o tem, co to jest człowiek i co jest życie, trzeba, chociażby raz jeden, dojść samemu do brzegu samobójstwa lub obłądu.

Stary już jestem, wszystko się dla mnie skończyło, pozostaje mi rola widza, a w wieku lat pięćdziesięciu pięciu jest to zajęcie wcale przyzwoite. Zresztą byłem zawsze oryginałem, żyłem po za światem, i prócz interesów i dotykanej przyjemności, jest jeszcze parę rzeczy, które lubię, o które dbam. A mój siostrzeniec, p. Anatol Durand, o co on też dba? O dobry obiad, wygodne miejsce, swobodę i cygaro. A panna X., którą mu swatają, co też ona lubi?

Ladne małżeństwo i ładny świat; zobaczymy to w roku 1880.

Muzyka jest obecnie dla kobiet tem, czem dla mężczyzn metematyka, łacina i t. d., to jest dziedziną odosobnioną i nieokreśloną. Trzeba ją znać, żeby ją rozumieć. Wiele z nich posiada ją gruntośnie, ze strony dramatycznej lub mechanicznej. Jest to ujęcie dla aktorki; co wieczór potrzebuje

ona swojej porcyi silnych wrażeń i głośnych oklasków.

Kiedy się przebyło rok jaki zdala od świata we dwójkę z jaką nauką, astronomią lub botaniką, odczuwa się pewną trudność rozmawiania w salonie. Jest się podobnym do tancerza, który wyszedł z wprawy i niezgrabnie wywija nogami. W rzeczywistości życie światowe jest w stałej niezgodzie z prawdą. Kłamię, gdy się z zajęciem rozpytuje o cudze zdrowie i cudze sprawy. Kłamiemy, dając do zrozumienia, że z przyjemnością odwiedzamy i widzimy drugich, przeinaczam rzeczy, jeśli chcę, aby moje opowiadanie było dwuznaczne lub przyzwoite. Upiększam, lub łagodzę, lub przesadzam, aby zdanie moje zrobić znośnem. Używam wielkich przymiotników, mówiąc o cudzym talencie, a małych, mówiąc o swoim, prawda z moich rąk może wyjść tylko jak kobieta z ubieralni: wymalowana, wypchana, tu ściągnięta, tam rozszerzona. Po pierwszym przeciągu czasu nie spostrzegamy już, że kłamiemy, i jeśli zgadujemy najtajniejszą myśl wzajemną, to poprzez słowa i pomimo słów, w które ją ubieramy.

Obecnie panuje zwyczaj, wprowadzać dziewczęta w świat w jaknajmłodszym wieku.

Wychowuje się je w świecie i dla świata, w sztuce i dla sztuki, w taki sposób, aby kłamstwo stało się dla nich przyzwyczajeniem, a podniecenie potrzebą.

A przecież każdy, kto żył lub myślał, wie, że jedynie zdolność wprężenia się do zmuśnej codziennej pracy, kierowanie się prawdą wobec siebie

i drugich, zdolne są wzbudzić w człowieku szacunek dla samego siebie i zrobić go znośnym we wspólnem pożyciu.

Ojciec stoi na warcie, oparty o framugę drzwi; córka tańczy, flirtuje, pyszni się strojem. Ojciec gryzmoli w biurze i lata za interesami, córka się stroi, gra na fortepianie, jest w domu ozdobą. Mąż zapracowywa się, żona zanudza się bezczynnością. Mąż chce spać, żona chce wyjść.

Oto wypadek szczegółowy, a przytem bezbarwny; zwykły, a na takich przykładach właśnie trzeba sąd swój opierać.

Mój siostrzeniec, Anatol Durand, ma przyjaciela Henryka S., i ja ten stosunek pochwalam; nie ma on zbyt wielu przyjaciół rozumnych. Ten jest człowiekiem młodym jeszcze, profesorem w wyższym zakładzie, trochę artystą, przytem życie wziął z dobrej strony: jest pracowity, wesoły, od roku żonaty; widziałem jego żonę. W dzień ślubu był ogromnie zakochany; jego ożywienie, jego widoczna radość poruszyły moje stare serce.

Podczas pierwszych miesięcy, dzięki urokowi nowości, był bardzo szczęśliwy; przedtem znał tylko kokotki i mieszkał razem ze starymi nudnymi krewnymi. — Młoda, dwudziestoletnia żona oczarowała go: taka miła, taka żywa, taka nowa, młodsza od niego o lat dwanaście, to był cały świat nieznany do odkrycia.

Teraz jeszcze bawi go czasem swoją naiwnością. To ptaszek, co śpiewa—mówił mi;—wie pan, ja lubię ptaszki, lubię dzieci, które się bawią; zra-

na, na przykład, objawia mi z całą powagą, że dzisiaj włoży błękitną suknię, lub że robi torcik“.

Lecz to jej dzieciństwo ma swe złe strony; przeszkadza mu ona w pracy, przerywa mu, nie rozumie, że dla pracy twórczej lub redakcyjnej potrzeba skupienia się i spokoju. On więc ma dla siebie tylko parę godzin, od piątej do siódmej zrana, gdy ona jeszcze śpi.

Jest ona trochę ograniczoną, jak wszystkie młode panny, i trochę upartą, jak wszystkie młode kobiety; myśli o swych przyjemnościach, nie wyobrażając sobie, by mogły być sprawy poważniejsze, i jeżdżąc z wizytami do przyjaciółek męża ciąga z sobą; znosił on to dotąd dla przyzwoitości, „ale, powiada, jeśli tak ma trwać dalej, to wolę się utopić lub wstąpić do wojska na ochotnika“. Kiedy była panną, życie jej polegało na odwiedzaniu przyjaciółek, kilku osób poważniejszych, graniu na fortepianie i t. d. Żyje więc dalej w ten sam sposób i nie rozumie potrzeby zmiany.

On jej nie znał i nie mógł jej znać. „Kiedym się o moją żonę starał, to za każdym razem był to prawdziwy egzamin; kuzyni, kuzynki, ciotki, wujasz-kowie egzaminowali na wyścigi; same ceremonie, żadnej rozmowy więcej poufalej. Ani sposób było mówić o przyszłości. Przez uprzejmość miałem się kierować gustem mojej żony; to też umeblowanie domu nam się nie udało“.

Teraz między niemi pustka, rozmowa zamiera. Ona czeka na przyjaciółkę, aby się dowiedzieć, czy włóczka zielona będzie lepiej pasowała niż włóczka żółta. On z tego korzysta, chwytą za kapelusz i zmyka. Niepodobna zainteresować jej jego zaję-

ciami, jego projektami, trudnościami, które ma do zwalczenia i które są zbyt specjalne. Próbował zniżyć się do jej poziomu, lecz napróżno; jej inteligencya, jej wykształcenie, nie nadają się do tego; słucha tego jak obojętnej rozmowy i natychmiast zapomina.

Nie zgadzają się oni z sobą w pojęciach zasadniczych, o religii, o świecie. On głośno, trochę może nieostrożnie, twierdził, że wielu księży wstępuje do stanu duchownego, by się od wojska uwolnić, że kobieta przed pięćdziesięciu laty własnych pojęć nie posiada i t. p. — Ona mu przeczy; żadnego uznania powagi, nawet w rzeczach rozumu. On próbuje ją kształcić i znajduje grunt niepodatny, nieurodzajny, bo nieuprawiony. I rzeczywiście do czytania nie dawano jej nic, jak wogóle u panien myśli jej nie rozwijano, karmiono ją podręcznikami faktów suchych jak kamyczki, z katechizmem jako podstawą. Całe ogólne wykształcenie umysłowe Francyi, cała ta warstwa, ponad którą wyrastają specjalne i wybitne powagi paryzkie, jest jeszcze taką samą jak w wiekach średnich.

I życia ich są sobie obce, i on to czuje. I tak pozostanie na zawsze, i on to również czuje. Nie wykształci jej, nie zrobi z niej towarzyszki życia, i godzi się z tem. Wieczory wydają mu się już bardzo długie i puste. Co tu robić, aby kobietę zabawić i zawsze zająć? Ona siada do fortepianu i gra, lepiej czy gorzej, to obojętne. Jak szczygielek w klatce, nie można mu kazać ciągle śpiewać, lub zabronić mu skakać.

Na szczęście, spostrzega on w niej rozwijającą się zdolność do gospodarstwa. Dawniej nie wiedzia-

ła, co to ludwik; dzisiaj wie i zaczyna oszczędzać. To jedyne ujęcie przy jej wykształceniu i jej inteligencji. Ktoby w to uwierzył, patrząc w jej rysy takie ładne, takie wyraziste, z odrobiną uporczywości odrębnego uroku? W ten sposób przynajmniej będzie pożyteczną i uczuje się pożyteczną.

Zgodne małżeństwo, i należą oboje do tych średnich sfer mieszczańskich, gdzie zgodne małżeństwa są liczniejsze niż gdzieindziej.

W sferach mieszczańskich — wzajemne dokuczanie sobie; w sferach wyższych — wiarołomstwo. W małżeństwach, które do obu sfer należą, jedno lub drugie, a czasem jedno i drugie.

Jako matka lub dziecko, jako posąg na piedestale, lub jako ozdoba fotelu w salonie, kobieta jest ideałem; jako żona lub kochanka jest ona często przeciwnikiem, nieraz wrogiem.

Chłopskie przysłowie powiada: jeden ojciec może wykarmić dwanaścioro dzieci, a dwanaścioro dzieci nie wykarmi jednego ojca.

Dziecko kieruje kobietą, która kieruje mężczyzną, który kieruje interesami.

Mylę się w moim sposobie widzenia rzeczy; układają się one łagodniej, jest w magazynie przyrząd ochronny, który osłabia siłę uderzeń.

Jest nim wesołość, swoboda umysłu, przyzwyczajenie do rozdwojenia swego „ja“ ożywioną rozmową, przez chęć zachowania pozorów. Dusza Francuza jest elastyczną, on się długo bolesnym myśłem nie poddaje; nie drażni rany, zagłębiając się w nią. Ubiera się, jedzie do znajomych, gada o wszystkim,

odczuwa potrzebę mówienia sprytnie i z ożywieniem, własną historję nawet chce opowiedzieć w sposób zabawny. Rozwesela go słuchanie samego siebie. Własne przykrości w jego opowiadaniu stają się dziełem sztuki; układa je po swojemu i już potem widzi je z oddalenia. I to wystarcza, by go ożywić i ducha mu podnieść. Lord B. co roku przyjeżdżał na dwa miesiące do Paryża. Mawiał on, że sam widok naszych ruchów, wyraz naszych twarzy kazał mu na życie patrzeć różowo.

Trzeba wyjść z samego siebie, sposoby się zmieniają stosownie do charakterów. Francuz ma rozmowę, Niemiec muzykę, Anglik interesa.

Niektórym temperamentom służy to, co nazywają filozofią; dla większości jednak to środek lichy. — N. mawiał: „któregoś dnia byłem markotny; zaaplikowałem sobie pół tuzina poważnych ksiąg. Po tygodniu było mi gorzej; wróciłem do zwykłego trybu: dobry befszytk zrana, dobry galop po południu, a wieczorem ładna kobieta“.

Trzeba posiadać „alibi“. W naszych klimatach ma się pracę, literaturę i świat; dodajemy w niższych warstwach wódkę, która jest literaturą ludu. Na Wschodzie mają opium i sny.

Najszcześliwszy człowiek, jakiego znałem, był to Bramin z Kalkuty. Głowa długa, wązka w skroniach i czaszka olbrzymiej wysokości; ciało chude, pleć jak u statuy glinianej, wypalanej na słońcu; zdawało się, że życie usunęło się do mózgu, a reszta ciała drzemała, jak u niektórych zwierząt zimą. Potrzeb nie miał prawie żadnych: pięć lub sześć uncyi ryżu dziennie, trochę wody, dach nad głową, ubranie białe bawełniane; parę służących. Dzień

cały spędzał w milczeniu, z nogami skrzyżowanymi, na progu swego mieszkania. W tej masce nieruchomaj oczy tylko żyły, błyszczące jak płomień. Jak kilku współczesnych mu uczonych rodaków, pozbył się i on większości swych przesądów i przyznawał się do tego. W ciągu lat dziesięciu uczeni angielscy radzili się go względem wydań sanskryckich; poznał on też i zrozumiał idee i filozofie europejskie. Ale raz, pewien doktor, myśląc, że go nawrócił, chciał go poczęstować bulionem; zemdlał z obrzydzenia, uciekł i już więcej w towarzystwie indyjanistów się nie pokazał. Od tej pory nerwy wróciły do porządku. Jako Francuz, a na pół Niemiec, otrzymałem pozwolenie odwiedzania go i przez kilka tygodni patrzyłem na jego dziwny uśmiech.

Pochwalał naszą naukę, ale w gruncie rzeczy nasze poszukiwania, nasze podróże wydawały mu się uwijaniem się owadów, robotą nieszczęśliwych mrówek, które, nie mając skrzydeł, niezdolne są wznieść się, aby wzrokiem objąć przestrzeń i zmuszone są grzebać łapkami. On, gdy oczy przymykał, wyraźnie widział, jak dzik Visznou niechący końcem kła ziemię porywa, widział olbrzymi mleczny Ganges, który jest nocnym płodem boga, gdy mu się zdało, że boginię w ramionach obejmuje, widział olbrzymie i powiewne postacie niezliczonych bogów, i miliony światów, które jak mgła wychodzą z Istoty nieruchome, aby potem znowu w Nią wsiąknąć.

Przypuszczam, że skończył na idyotyzm lub apopleksję. W Europie mamy naukę; jest-to także samobójstwo powolne i inteligentne.

ROZDZIAŁ XXIV.

SAM-NA-SAM.

W ogrodzie botanicznym służące, żołnierze, mieszcuchy z ulicy Copeau gromadzą się zwykle przed wielką klatką, w której się mieszczą małpy. Zwierzęta te zrobiły się złe, a co gorsza, chore; życie więzienne i niezgodne z prawami natury zniszczyło im szerść; gdzieniegdzie z pod szarego lub żółtego włosa wyglądają plamy czerwonego ciała; przykry to widok tych mordeczek wykrzywionych i złych; rzucają się one w ruchach gwałtownych, wrzeszczą, biją się o jabłko lub ciastko, łażą po słupach i zachowują się nieprzyzwoicie, nie krępując się widzami. Publiczność popsuta je śmiechem i podniecaniem; one się odplacają, wystawiając bezwstydnie przed jej oczy swoje ułomności i nałogi. Są one jej ulubionymi figlarzami, drażnią bowiem niezdrową strunę; zato też dostają strawę.

To samo wrażenie wywierają na mnie małe

teatrzyki. Aktorowie w nich to małpy ulepszone i popsute, a malowana klatka, w której co wieczór pokazują swe sztuki, gorzej działa na zdrowie fizyczne i moralne, niż zakratowana altana, w której wyprawiają harce ich koledzy z muzeum. Tak samo, jak tamci, są oni wynędzniali na ciele i na duszy; tak samo zabawiają publiczność swemi przywarami fizycznymi: jeden nosem, drugi miną oglupiają, ten głosem ochrypłym, tamten olbrzymiej objętości żołądkiem. Tak samo poruszają oni najniższe struny ludzkiej rozwiązłości i złości. Tak samo wnoszą się do pewnego rodzaju zwierzęcego talentu, złożonego z naśladownictwa i nieprzyzwoitości, coś jak niedowarzona i dziwaczna parodia, w której widz nie wiele więcej wart od błazna. Wczoraj jedna z tych aktorek kończyła każdą dwuznaczną zwrotkę niemożliwym wrzaskiem i wyrzutem nóg; po trzeciej zwrotce zatrzymała się, bo jej sił zabrakło, i złamanym głosem przeprosiła publiczność. Wyniosłem się, czułem potrzebę otrząsnąć się z brudu; zrobiłem pieszo około wiorsty przy blasku księżyca i poszedłem do mego przyjaciela, Wilhelma Kittel. Jest to prawdziwy artysta, mieszka sam.

Jakich trzydzieści lat temu byliśmy razem w uniwersytecie w Jenie i nieraz filozofowaliśmy, kłócąc się lub godząc, w tych małych przedmiejskich ogródkach, gdzie się popija piwo w altanach chmielowych różami obsypanych. Od tego czasu drogi nasze się rozeszły; ja w Ameryce zrobiłem majątek; on żył z lekcji, naprzód w Berlinie, potem w Paryżu; наконец jakiś wujaszek w samą porę się wyniósł na tamten świat i bardzo rozumnie zostawił mu parę tysięcy franków dochodu; obecnie więc

uważa się za bogatego. Ale biedny, czy bogaty, pieniądze nigdy go nie obchodziły. Jeżeli tych parę tysięcy sprawiły mu przyjemność, to dlatego, że nie potrzebował już tracić na lekcye trzech lub czterech godzin dziennie, aby zapłacić za stół, ubranie i mieszkanie. Nie pomyślał też nigdy o sławie; zamknięty był w sobie i nieśmiały; przestraszały go intrygi paryżkie. Wolał siebie *nie wystawiać*; pozostał w domu, studiując partyce i oratoria w bibliotekach. Przestał nawet uczęszczać na koncerty i do teatrów; wykonania na pokaz, trele śpiewaczek, bezsensowne oklaski, psuły mu nie marzeń; twierdzi on, że opery słucha się dobrze tylko przy fortepianie. Zna go pięciu, czy sześciu sławnych kompozytorów i od czasu do czasu drapia się do niego na czwarte piętro. Weber i Gounod cenią go i są zadowoleni, kiedy on powie: to było dobre. Ponieważ jest zimny i sztywny, przeto więcej się od niego nie wymaga. Zresztą posiada on chłodną dumę flegmatyków; nigdy nie przyjął zaproszenia na obiad; jest to u niego zasada, wiedzą o tem i nie nalegają; kilka razy odpowiedział, że nie przyjmuje, bo oddać nie może, a w żadnym razie sonatami się nie rozplaca. Według niego muzyka, to rozmowa serdeczna; nie można przecież wylać serca za filiżankę herbaty lub pularde, a przedewszystkiem nie robi się zwierzeń nieznanym. Ja do niego, on do mnie, chodzimy piechotą; u mnie i u niego obiadujemy jednym daniem i butelką wina; od obfitego jedzenia cięższe głowa, przytem w ten sposób równość zachowana; ja się nawet uważam za zobowiązanego, on do rozmowy więcej wnosi odemnie. Jestem prawie ostatnim jego kolegą; śmierć, małżeństwo, oddalenie, róż-

ność usposobień, sprawiły pustki wokoło nas, a kiedy jesteśmy razem, widzimy znowu w jakiejś oddali czarownej, w niewyraźnej mgłę zlocistej, pierwsze przebudzenie się ducha pod wpływem Beethovena, Schelling'a i Goethe'go.

„Fryderyku — rzekł do mnie, widząc mnie wchodzącego — oto twój fotel, zapal sobie cygaro; chciałem mieć cię z sobą, aby powtórzyć nasze stare sonaty; pilnuj samowaru“. — Uścisnąłem mu dłoń, on siadł do fortepianu.

Jak dobrze na duszy w tym starym pokoju! Jest on równie moim, jak jego, a czuję się tu lepiej niż u siebie. Nawet pył tutejszy sprawia mi przyjemność. Wytarty dywan, fotele wysiedzone, biblioteka pełna książek prawdziwie przeczytanych, wszystkie te pocziwe meble dają poczucie zupełnej swobody. Nie ma co ich podziwiać, nie są tu dla parady; nie przemawia przez nie próżność, jak w etażerkach i cackach u modnej kobiety; wyblakłe ich kolory nie przyciągają wzroku; służbę pełnią nieznośnie, jak dobre sługi. I oto siedzę sobie w głębokim zielonym fotelu, nie potrzebuję bić oklasków, szukać nowego komplementu; mogę swobodnie być samym sobą, mogę otworzyć drzwi istocie ukrytej, subtelnej, którą każdy z nas chowa w samym sobie, mogę ją wypuścić na wolność bez obawy, aby ją kto nie rzucił o ziemię i nie zgniótł. Samowar śpiewa; z nogami u kominka przypatruję się niebieskim lub pomarańczowym płomykom, które liżą popękaną korę drzew. Zanika powoli szum wrażeń paryżkich, i jak mgły poranne, wznoszą się w duszy senne, powiewne zjawiska.

„Wilhelmie, graj mi teraz sonatę *sol minor*, wiesz, *opus 90*“.

Muzyka ma tę właściwość niezrównaną, że nie wywołuje u nas pewnych *kształtów*, pewnego krajobrazu, rysów człowieka, pewnego zdarzenia lub określonych okoliczności, ale *stan* duszy, pewien odciśnięcie radości lub smutku, stopień naprężenia lub zniechęcenia, najpełniejszy rozkwit radości lub śmiertelny smutek. Cały tłum zwykłych myśli codziennych gdzieś został zmieciony; pozostaje tylko to, co istotę człowieka stanowi, nieskończona zdolność do rozkoszy i cierpienia, do burzenia się i uspakajania, niezliczone odmiany i harmonie we wzruszeniach i spokoju. To tak, jakby z pewnej przestrzeni kraju zebrać mieszkańców, usunąć miedze i ślady uprawy; pozostałaby ziemia ze swoją budową, z dolami i wzgórzami, ze szmerem wichrów i rzek, i z wiecznie zmienną poezią światła dziennego i cieniów.

„Wilhelmie, jeszcze nie byłem z tobą, filozofowałem pocichu; proszę cię, zacznij raz jeszcze, szczególnie tę drugą część, majorową“.

Zaczął ją znowu, tę część tak melodyjną a rzewną. Nad akordami unosi się śpiewny szereg nut, czystych jak dźwięk kryształu, zanika, powraca, wije się jak strumień wśród łąki. Słyszeć czasami jakby westchnienie fletu, to znów przejmującą słodycz głosu kobiety kochającej a smutnej. Chwilami słodycz urywa się; powraca dusza burzliwa, spadają kaskady nut urywanych, kapryśnych i misteryjnych, w nagłych splotach dziwacznych akordów; potem znowu cisza; wznosi się rój cichych i dźwięcznych głosików, opadają i gonią się, jakby szelest, jakby cudne

pomieszanie wód szemrzących, i melodya powraca do nut początkowych, do ruchu umiarkowanego, i płynie po raz ostatni, więcej niż kiedykolwiek zawila i wspaniała, w orszaku dźwięków srebrzystych.

„Jeszcze Beethovena, Wilhelmie; ale teraz długo, i co ci tylko przyjdzie do głowy“.

Grał więcej niż godzinę, ale na zegarek z pewnością nie spojrzałem. Był on tego dnia w usposobieniu, podniecony, i ja nim byłem niemniej od niego. Zagrał naprzód dwie, czy trzy całkowite sonaty, potem urywki symfonii i sonatę na fortepian i skrzypce, piosnkę z „Fidelia“, jeszcze inne kawałki, których nazwy nie przypominałem sobie. Łączył je kilku akordami lub chwilą przerwy, jak człowiek, który otworzywszy ulubionego poetę, czyta to w środku, to w końcu książki, wybierając to jedną strofkę, to drugą, zależnie od biegu myśli w danej chwili. Słuchałem nie ruszając się, z oczami wlepionymi w ogień, i jak na żywej twarzy, śledziłem poruszenia tej wielkiej zgasłej duszy; zgasła tylko dla siebie; dla nas istnieje ona i mamy ją całą w tym stosie zapisanego papieru. Jakżeż niesprawiedliwą względem niego jest opinia publiczna! Uznaje się jego potęgę, gdy chodzi o olbrzymiość lub boleść, ale tem ograniczają jego królestwo; jako dziedzinę przyznają mu step pustylny, w którym wichry grają, wspaniały swą martwością, podobny do tego, w którym Dante żyje. Zapewne, ta pustka samotna, to jego własność, i żaden inny muzyk tam nie ma przystępu; on jednak i gdzieindziej jeszcze przebywa. Co tylko najwspanialej rozkwita w wiejskiej przyrodzie, ile jest słodyczy i uśmiechów

w cienistych i kwiecistych dolinach; co tylko świt poranny ma świeżości i dziewiczości, wszystko to, jak i reszta, należy do niego. Tylko, że spokoju w duszy jego nie ma; radość, jak i boleść, wstrząsa nim całym; on rozkosz odczuwa zbyt silnie; bywa zachwyconym, ale nie szczęśliwym; podobny jest do człowieka, który po nocy udręczeń, znużony, zboleły, w obawie dnia jeszcze gorszego, spostrzega nagle spokojny krajobraz poranny; ręce mu drżą, pierś oddycha głęboko, swobodnie; wszystkie władze ucisnione powracają do życia, i uczucie szczęścia jest równie niepokromione jak porywy rozpacz. Każda uciecha sprawia mu ból; szczęście jego jest nie łagodne, lecz bolesne. *Allegra* jego są gwałtowne, jak rozhukane żrebięta, gdy tratują śliczną łąkę, harcując po niej. Jeszcze gwałtowniejsze, jeszcze więcej rozkielznane *presta* jego mają prawie napady szaleństwa, nagle przerwy drgające, rozhukane galopy, które w głośnym rozpędzie huczą po klawiszach. Czasem, wśród szalonej radości, wkracza powaga i tragizm, i nie zmieniając tempa, z tem samem uniesieniem umysł jego prze naprzód, jak do walki, zawsze upojony gwałtowną szybkością, ale z takimi dziwnymi rzutami i z tak bogatą fantazją, że widz staje prawie przerażony wobec jędrności tego życia dzikiego, wobec zawrotnej obfitości jego wzlotów, wobec ognistych zwrotów niespodzianych, urywanych, obfitych po nad wszelkie spodziewanie, nad wszelkie wyobrażenie, któremi on to życie wyraża, nie mogąc go nigdy wyczerpać.

Siadł koło mnie i rzekł mi:

— Znasz jego życie?

— Niezbyt dokładnie; tyle tylko, ile pomieścili felietony.

— Oto jest biografia jego przez Schindlera, zacnego człowieka, który z nim ostatnie lata spędził. Przeczytaj to, ja tymczasem przygotowuję herbatę.

Zacząłem przeglądać tę niemiecką książeczkę, w której wierny towarzysz mistrza, prawdziwy niemiecki *famulus*, rodzaj Wagnera, ucznia nowego Fausta, spisał wszystkie szczegóły, jakie znał ze słyszenia, lub na które patrzył. Te szczegóły z życia codziennego nie wydawały mi się nudnemi. Dusza, która przed chwilą przemawiała do mnie, uszlachetniała wszystko. Widziałem tego człowieka w starym płaszczu, w pogiętym kapeluszu, szerokiego w plecach, z brodą zaniedbaną, z najeżoną czupryną, jak boso chodził po rosie porannej, jak pisał „Fidelia“ lub „Chrystusa na Górze Oliwnej“, siedząc na pniu, z którego wyrastały dwa dębczaki, jak siedł prosto przed siebie, nie widząc przeszkód i nie spostrzegając niepogody, jak wieczorem wracał do pokoju, w którym panował najzupełniejszy nieład, gdzie książki i nuty tarzały się na podłodze, gdzie w kącie na kupie leżały próżne butelki, resztki śniadania i korekty drukarskie, a msza na *ré* służyła w kuchni do zawijania produktów; zwykle chmurny, hipochondryk, a chwilami miewający napady dziwacznej wesołości, przebiegający klawisze z okrutnym grymasem na twarzy; milczący, skupiony w sobie, słuchający opery z nieruchomością pagody; we wszystkim nierówny, niezdolny zastosować się do

życia. Ale czułem także, że źródłem tych dziwactw był nadmiar szlachetności. W jego listach miłosnych, wpośród zdań bieżących, znajdują się słowa prawdziwie wzniosłe: „Moja ty nieśmiertelnie ukochana!” Żył on w świecie ideału, opisanym przez Petrarę i Danta, i miłość w niczem nie ujęła surowości jego obyczajów. Nie mogąc się ożenić, pozostał czystym, i w kochaniu jego, jak w dziełach, nie ma nieczystego. Wstręt miał do rozpusty i w czynie i w słowie, i ganił Mozartowskiego *Don-Juana*, nie tylko z powodu włoskiej formy, ale także dlatego, że „święta sztuka nie powinna frymarzyć sobą do tego stopnia, żeby służyć za tło tak wszetecznej historii.“

Tę samą wzniosłość duszy zachował i w innych sprawach życiowych, wobec wielkich tego świata był dumnym, czekał, by mu się pierwsi kłaniali, światowe grzeczności i uprzejmości nazywał zdradą i kłamstwem i jak jaki Rousseau lub Platon nie tracił nadziei w ustanowienie rzeczypospolitej, w którejby wszyscy byli równymi obywatelami. W najtajniejszej głębi jego serca rozwijał się zmysł jeszcze wznioslejszy, zmysł boskości. Tego wyrazem, według niego, nie mogły być sztuka i mowa ludzka; muzyka tylko swą istotą odpowiadała mu, ale o jednym i o drugim mówić nie chciał. W tej chwili przeczytałem napis, skopiowany przez niego na posągu Izidy: „Ja jestem wszystkim, co jest, wszystkim, co było, i wszystkim, co będzie. Żaden śmiertelnik zasłony mojej nie podniósł“. Tylko stara mądrość Faraonów znalazła słowo równie wzniosłe, jak jego myśl.

Położyłem książkę, Wilhelm ją wziął i poszu-

kał jakiejs stronicy. „Przeczytaj to jeszcze — rzekł mi;—trzeba żebyś o nim miał pojęcie zupełne.“ Był to jego testament. Oto jest jego pierwsza stronica:

„O wy, ludzie, którzy mnie macie za technącego nienawiścią, za nieużytego lub odludka, jak wy mnie krzywdzicie! Nie znacie ukrytej przyczyny tego, co się wam takim wydaje. I serce i usposobienie moje od dzieciństwa skłonne były do dobroci, i sam chciałem wielkich rzeczy dokonać, oto o czem zawsze marzyłem. Ale pomyślcie tylko, że od lat sześciu dotknięty jestem nieuleczalną chorobą, że niezdolni lekarze pogorszyli mój stan i że z roku na rok, łudząc się nadzieją polepszenia, zmuszony jestem nakoniec uznać, że tak trwać będzie zawsze... Będąc z urodzenia usposobienia czynnego i gorącego, lubiąc nawet namiętnie rozrywki towarzyskie, musiałem już zamlodu oderwać się od nich i prowadzić żywot samotny... Nie mogłem ludziom mówić: Mówcie głośnie, krzyczcie, bo jestem głuchy! Ach, jakżeżbym mógł przyznać się do tego, że osłabł u mnie zmysł, który u mnie niemniej doskonałym musiał być, jak u innych, który dawniej był doskonałym, jak mało u kogo z ludzi mego zawodu, współczesnych lub dawnych! Nie, tego nie mogę! Prawie zawsze samotny, z nieśmiałością największą wchodzę do jakiegoś towarzystwa, gdy mnie konieczność do tego zmusza. Muszę żyć jak wygnaniec, jeśli do ludzi się zbliżam, to ze śmiertelnym niepokojem, obawiam się być narażonym na to, że ktoś mój stan spostrzeże. Ale co za upokorzenie, kiedy kto w oddali słyszy głos fletu, a ja nie słyszę

nie, kiedy kto słyszy śpiew pastuszków, a ja nie słyszę nic! Takie wypadki doprowadziły mnie prawie do rozpaczy; niewiele brakowało, abym życia sobie nie odebrał. Sztuka tylko, sztuka mnie powstrzymała. Ach! wydawało mi się niemożliwem opuszczać świat, nie stworzywszy wszystkiego, co stworzyć było mi przeznaczonem!”

— Teraz,—rzekł Wilhelm—słuchaj!” — I zaczął grać ostatnią część ostatniej sonaty.

Jest to frazes zawarty w jednej linji, powolny i tęsknoty nieskończonej pełny; powraca on ciągle, jak jeden przeciągły wybuch płaczu. Po za nim przedłużają się dźwięki przytłumione; każdy dźwięk brzmi jeszcze z pod tych, co idą po nim, i głucho umiera, jak okrzyk zakończony westchnieniem, tak, że każdemu nowemu wybuchowi cierpienia towarzyszy orszak dawniejszych żalów, a pod ostateczną skargą daje się jeszcze odczuć słabe echo pierwotnej boleści. Nic w tej skardze niema ostrego, żadnego gniewu, żadnego buntu. Serce, które się tak żali, nie mówi, że jest nieszczęśliwe, ale że szczęście samo jest niemożliwe, i w tej rezygnacji znajduje spokój. Jak człowiek wielkiem nieszczęściem złamany, leżąc w pustyni, widzi nad sobą w ostatniej nocy sklepienie wysadzone iskrzącymi niebios klejnotami, sam od siebie się oddziela, zapomina o sobie; nie myśli już o tem, aby naprawić, co już nie jest do naprawienia; niebiańska pogoda wszechrzeczy przejmuje go słodyczą tajemną, i ramiona, które już nie są w stanie podnieść zbolalego ciała, wyciągają się jeszcze ku niewymownej piękności, która ten wszechświat mistyczny oświecła. Powoli ły-

bólu i cierpienia ustępują miejsca łzom zachwyty, a raczej mieszają się one razem w męce z rozkoszą zmieszanej. Czasem rozpacz wybucha, ale natychmiast rozkwita poezya, i rozpacz największa człowieka jest taką nadzwyczajną wspaniałością akordów, że górę bierze to, co najwznioślejsze i wszystko inne pokrywa porywającą harmonią. Nakoniec, po wielkiej wrzawie i walce pozostało tylko piętno wzniosłe; skarga przemieniona staje się hymnem wzniosłym, niesionym w zgodnym chórze dźwięków tryumfalnych. Naokoło tej pieśni, w górze, w dole, rozbrzmiewa chór oklasków, rośnie, nadyma się, podwaja nieustannie uniesienie i radość. Klawisze nie wystarczają, niema głosu, któryby w tej uroczystości nie brał udziału, od grzmotów najniższych nut do szczebiotania najwyższych, wszystkie się zlewają w głos jeden, złożony, jak ta róża promienista, którą Dante widział, w której listkiem była każda dusza błogosławiona. Tak sprzeczne wzruszenia dała nam pieśń w dwudziestu nutach; tak w katedrze gotyckiej przygnieciona arkada krypty łukiem się gnie przy grobowem świetle lamp, wpośród ścian wilgotnych, w ponurych ciemnościach, otaczających grobowiec zmarłego; potem w górnym kościele, uwolniona od ciężaru materji, prostuje się, filarkami wzbija się ku niebiosom, okna w koronki ozdabia, u szczytów oświetlonych rozwija listki koniczynne; ze świątyni robi ołtarz.

O mocy niezwykła nadziei i marzenia! Jakby jej nie zwalczać, nigdy nie zaginie. Trzydzieści lat interesów, cyfr, doświadczenia, nagromadziło się

nad źródłem; wydaje się ono stłumionem, i nagle, przy zetknięciu się z wielką duszą, tryska z równą siłą jak dnia pierwszego; grobla przerwana, i materiały ciężkie, mocne, któremi otwór zawałono, porwane prądem, wzmacniają tylko pęd wody. Dziwnym zbiegiem myśli przypominały mi się w tej chwili krajobrazy Indyi, jedynie zdolne swoją siłą i sprzecznościami dostarczyć obrazów do takiej muzyki. Gdy nadchodzi pora mussonu, chmury nagromadzone tworzą jakby olbrzymi mur z sadzy, który zajmuje całe niebo i całą ziemię; po tej bryle węglowej mowy przebiegają tysiącami, i straszna ta masa czarna, nakrapiana białymi skrzydłami, sunie ku lądowi, pochłaniając przestrzeń i we mgle zatapiając przylądki. Wtedy-to okręty ruszają w morze. W ostatni pogodny dzień widziałem zdaleka Maldivy, dwanaście tysięcy drobnych wysepek koralowych na dyamentowem tle morza; prawie wszystkie są puste; woda śpi w zatokach, lub srebrnymi frendzlami bramuje skały. Słońce garściami rzuca strzały ogniste; na zakrętach kanałów kaskady płynnego złota tryskają z ukośnych fal. Olbrzymia przestrzeń wodna, porysowana wirami, wygląda jak metal wychodzący z kuźni, zdobny w tysiące arabesek; na powierzchni iskrzą się miliony błyskawic, jak na inkrustacyach zbroi; rzekłbyś skarbiec radży indyjskiego, broń i klejnoty, sztylety z rękojeścią z perłowej masy, szaty naszywane szafirami, szmaragdowe kity na hełnach, pasy turkusowe, jedwabie błado-niebieskie, zdobne w złote blaszki i perły. A niebo to, z jego palającą białością, do czego by je można porównać?

Kiedy piękna, młoda kobieta, kwitnąca zdrowiem i drżąca od szczęścia, wystrojona do ślubu, złoty grzebień już włożyła we włosy, na szyję zawiesiła łańcuch pereł, w uszach rubiny, kiedy na ciałło, życiem różowe, wszystkie klejnoty blaski rzucają, wtedy często zawiesza ona na czoło biały welon powiewny; ale twarz jest światłem go napęlnia i gaza, w którą ukrywać się zdaje, tworzy jej świetlaną koronę. Podobnie morze pod tem niebem, w obfitości rozlanego światła, w przeciwieństwie do chmur bladych, rozkoszne i wzniosłe, jak boski hymn mistrza po długiej nocy rozpaczy. Ono także wzrusza za silnie, zbyt jej pięknem, zanadto wzbudza w nas to samo, co on. Wobec jednego i drugiego przestaje się słyszeć lub widzieć rzecz odrębną, oderwaną, fragment życia; to słyhać jak się raduje lub skarży wszechświatowy chór żyjących, to ta wielka dusza, której myślą jesteśmy, to przyroda cała, nieustannie i koniecznie kaleczona i gnębiona, ale życiem drgająca na własnym pogrzebie, i pośród miriadów trupów wznosząca ciągle ku niebiosom ręce pełne nowych pokoleń, z okrzykiem głuchym nienasyconej żądz, zawsze tłumionym, a zawsze odradzającym się.

Spojrzałem na Wilhelma; byliśmy obaj mniej więcej w tym samym stanie i podeszliśmy do siebie. Niech mi Bóg tego nie pamięta, o mało co, że się nie zetknęły nasze stare fizyognomie; ale odgadaliśmy naszą myśl, ja w jego oczach, on w moich, i uśmiechnęliśmy się; w naszym wieku uścisk ręki najzupełniej wystarcza. Poczem, nic nie mówiąc, poszedłem do domu. Zdaje mi się, żeśmy tego wieczora robili herbatę, ale jej nie pili.

ROZDZIAŁ XXV.

PAN GRAINDORGE.

Do pana Marcelin, Dyrektora „Życia paryzkiego”.
Szanowny panie!

Mam zaszczyt zawiadomić pana o bolesnej stracie, jaką poniosły literatura, solona wieprzowina i oleje mineralne w osobie pana Frydryka-Tomasza Graindorge, doktora filozofii uniwersytetu w Jenie, głównego wspólnika domu Graindorge i Komp. z New-Yorku i Cincinnati, zgasłego wskutek cierpień wątroby, we własnem mieszkaniu, przy ulicy Champs-Elysés № 14, dnia 15 lipca 1865 r., w roku życia pięćdziesiątym piątym.

Jako dawny profesor retoryki, zaufany sekretarz i operator nagniotków pana Graindorge, lepiej niż ktokolwiek jestem w stanie dać panu wszelkie potrzebne szczegóły o życiu, zwyczajach i charakterze mego szlachetnego i nieszczęśliwego pryncypała. Czytelnicy pańscy, znając jego pojęcia, radzi będą poznać jego osobę, a ponieważ obiecuje pan wynagrodzić mnie za ten list, miło mi więc spełnić

obowiązek, który bez ujmy dla moich słuszných interesów, pozwala mi wylać najśłodsze uczucia mego serca.

Dziewięć lat temu, kiedy pan Graindorge przyjął mnie na służbę, miałem zaszczyt być członkiem Uniwersytetu Francyi i oddawna już nosilem z przykłądną gorliwością togę i biret, do zapelnienia których byłem powołany. W tym czasie rektor wydał okólnik, zmuszający profesorów do golenia brody; mnie o moją bardzo chodziło, bo była czarna i piękna i zauważyłem, że słowom moim dodawała powagi i wywierała wpływ na umysły młodzieży. Silny własnem sumieniem i odwołując się do zasad powagi i władzy, zaprotestowałem u moich przełożonych, ci list mój wzięli za drwiny i dali mi dymisję. W kwiecie wieku i talentu przybyłem do Paryża, tej ucieczki wszystkich ludzi zdolnych, którym los nie sprzyja; tu po rozmaitych nieudanych próbach zmuszony zostałem przepisywać papiery dla rozmaitych osób, między innemi dla pana Graindorge'a. Któregoś dnia, kiedym mu odnosił moją pisaninę, zaczął się skarżyć na dokuczliwy nagniotek, wyrastający po prawej stronie wielkiego palca u lewej nogi. Ponieważ zawsze miałem skłonność do nauk przyrodzonych, zająłem się specjalnie tą gałęzią fizyologii, która traktuje o narodach na ciele ludzkim, gdyż jest to jedyna, która dzięki swej praktycznej stronie i szczupłej teorii może być uprawiana na prowincyi, nie ściągając na swych zwolenników gromów duchowieństwa i niebezpiecznej opinii niedowiarka. Ofiarowałem panu Graindorge swoje usługi i zrobił mi ten zaszczyt,

czyt, że natychmiast zdjął w mojej obecności but. Po trzech minutach nagniotka już nie było, a pan Graindorge doznał niewysłowionego uczucia ulgi. Od tej chwili zostałem przywiązany do jego osoby. Załatwiałem mu rozmaite nie handlowe interesa, układałem książki, co wieczór przygotowywałem mu strój wieczorowy, a co rano opatrywałem paznogie. W ten sposób, proszę pana, w ciągu lat dziewięciu mogłem poznać gruntownie tego niezwykłego człowieka, którego dzisiaj oplakujemy.

Aby zachować porządek i pewien związek logiczny, z którym pan Graindorge nie zawsze był w zgodzie, zacznę od uwagi, iż nosił on butynki zbyt ciasne. Pan Graindorge, przeszedłszy już wiek kokieteryi, nie pozbył się pewnych pretensyi i przesadzał może w troskliwości o swój strój. Daleką jest odemnie myśl ganienia mego znakomitego i nieszczęśliwego przyjaciela; ale szczerłość, która jest u mnie dogmatem, zmusza mnie do przyznania, że spędzał godzinę zrana i godzinę wieczorem na czesaniu, ubieraniu, perfumowaniu i nacieraniu się nieskończoną ilością preparatów. Czy nie uważa pan, szanowny panie, że taka przesada niegodna jest mężczyzny i że my, aby się nam w świecie powodziło, powinniśmy rachować tylko na własne zasługi i własny rozum? Mogę pana upewnić, że co do mnie innych środków nie używałem i że, dzięki Bogu, te, które z tej strony posiadam, zupełnie mi wystarczają. Pan Graindorge przeciwnie dbał ogromnie o pozory i zawsze znajdował, że ubranie nie dość dobrze leży i że obuwie nie dość cienkie. Prostował swoją długą, cienką figurę, na nos orli kładł

szkiełka w złotej oprawie, a wieczorem, gdy mu frak podawał, widziałem dobrze, z jaką przyjemnością przyglądał się w lustrze samemu sobie. Raz jeden tylko dostałem od niego uderzenie nogą, a było to w dzień, kiedy zajęty myślami literackimi, wylałem mu na ręce zamiast wody kolońskiej, butelkę atramentu. Poleciałem na kanapę, bo łydki miał on zdrowe; ale zaraz, miast tlómaczenia, podał mi papierek pięćsetfrankowy, i przyznaje, że to zadośćuczynienie podało mi nieraz myśl wznowić moją omyłkę. Jednakże poprzestałem odtąd na poważnym uśmiechu, którym zwykle protestuję przeciw ludzkim słabościom, i co wieczora doznawałem cichej przyjemności, czując się wyższym, chociażby przez pogardę dla światowej próżności, od człowieka, którego podwładnym zrobiły mnie wypadek i niesprawiedliwość losu.

Wstawszy z łóżka i po wypełnieniu przezemnie względem jego nóg i jego toalety usług może nawet przesadzonych, pan Graindorge spędzał zwykle rano na czytaniu. Pochwalałem to zajęcie: uszlachetnia ono duszę, a pan Graindorge potrzebował go bardzo, aby zatrzeć w umyśle swoim ślady, które tam pozostawiło życie, znające tylko gruby interes handlowy. Lecz darmo się trudził; wspomnienie o solonej wieprzowinie i olejach mineralnych zbyt często powracało w jego mowach i jego pismach; ja sam, przy początku tego listu, nie mogłem się powstrzymać od przymówki do tej jego wady z pomocą ironii równie umiarkowanej, jak niewinnej. Faktem jest, że gustu mu brakło, i znać to było po książkach, które czytywał: nasi klasycy nie trafiali

mu do przekonania; zato w jego ręku najczęściej były ciężkie dzieła niemieckie, nieskończone miesięczniki angielskie. Któregoś dnia pozwoliłem sobie zwrócić na to jego uwagę; odpowiedział mi sucho, abym pilnował jego spodni. Najmądrzejsze rady nie miały przystępu do tej nieokrzesej duszy; uśmiechałem się i w duszy zmierzyłem nieprzebytą przepaść, która zawsze dzieli człowieka z wykształceniem od człowieka z pieniędzmi.

O jedenastej pan Graindorge zjadał zwykle śniadanie, złożone z kurczęcia lub kuropatwy na zimno i butelki wina czerwonego. Do stołu ja mu służyłem i co zostawało w butelce, to było dla mnie. Przez pierwsze pięć lat zostawiał on zawsze połowę; stopniowo doszedł do tego, że wypijał trzy czwarte, z rosnącym łakomstwem i naiwnym egoizmem, które mnie nakoniec dotknęły. Był nawet tak bezwzględny, że chwalił swoje Bordeaux w mojej obecności i twierdził, iż to wino znakomite jest dla żołądka. Jakiem prawem przywłaszczał on sobie moje pół-butelki? Kto go upoważniał do siedzenia przy stole dziesięć minut dłużej, przyczem przedłużał moją służbę, opóźniał mój obiad, narażał mój żołądek na cierpienie i brał z moich rąk, tak, panie, z moich własnych rąk, dwa dodatkowe kieliszki wina, które prawnie już od lat pięciu należały do mnie? Pokazuje się, że gdy mnie takie myśli pochłaniały, wtedy oczy moje przybierały jakiś wyraz odrębny. Raz pan Graindorge odezwał się do mnie: „Celestynie (to moje imię, proszę pana; imię godnie noszone przez mego ojca i, śmiem twierdzić, przezemnie także), mój biedny Celestynie, co ci dokucza?“ Od-

zyskałem natychmiast mój uśmiech dyskretny i wytłómaczyłem się myślami literackimi. „Ha, ha! — rzekł pan Grandorge — to muzy figle platają. Celestynie, to bardzo niedobre dla trawienia, proszę mi przynieść rum jamajski“. Nalał mi duży kieliszek, który wypilem, ukłoniwszy się z szacunkiem. Ale co za pech! on sam przy tej sposobności dokończył wina czerwonego, mojego wina, jedyne, które jest pod kluczem, jedyne, które dogadza moim nerwom! W takich wypadkach potrzeba mieć dużo władzy nad sobą; dawniejsi filozofowie twierdzą, że prawdziwą oznaką szlachetnej duszy jest męztwo, z którym się w milczeniu znosi niesprawiedliwość, a pochlebiam sobie, że w tej chwili byłem ich godnym uczniem.

Okolo pierwszej pan Graindorge udawał się do klubu, a ztamtąd nie wiem dokąd. Nie chciałem się dowiadywać dokąd; człowiek taki, jak ja, powinien sam siebie szanować, i jeśli jego przełożeni pozwalają sobie na rozrywki, które przyzwoitość gani, to powinien zamykać oczy, jak przed galerią rzeźb, lub wobec tych nagości, które fryzjerzy bezwstydnie wystawiają w oknach. Gdybym chciał być pogawędzić ze stangretem lub kamerdynerem, tobym się mógł być wielu rzeczy dowiedzieć: obaj ci podwładni nieraz starali się spoufalić ze mną; ale zawsze pozbywałem ich się w sposób grzeczny, jak człowiek, który umie być na swoim miejscu. A przecież nietrudno mi było dowiedzieć się o wszystkim; nieraz słyszałem, jak rozprawiali w kredensie, lub na kozle, kiedy pan Graindorge, wzięwszy mnie ze sobą, pozostawiał mnie w powozie. Panie, czy pan w to uwierzy? Pan Graindorge, który nie rumieniać się, wta-

jemniczał swego siostrzeńca w swoje sztuczki, nie miał nawet miłości za wymówkę; jemu chodziło tylko o zajęcie dwóch godzin czasu; i na to tracił rocznie dwadzieścia tysięcy franków, a nawet więcej. Panna Concepcion Nunez, ostatnia faworytka, była prostą tancerką w hiszpańskiej trupie, która ostatnimi czasy przybyła do Paryża, aby się popisywać dziwaczniemi tańcami. Dla niej pan Graindorge kazał znieść wewnętrzne ściany trzech pokoiów; otworzył się duży salon, w którym trzy lub cztery razy tygodniowo przypatrywał się wykręcaniu się tej frygi, leżąc na kanapie, z fajką turecką w ustach. Pokoje pełne były kwiatów, a przymknięte okiennice przepuszczały tylko pół-światła. Muzykanci byli w drugim pokoju, i w przerwach tańców grali melodye powolne, bardzo ciche i bardzo tęskne. Pan Graindorge patrzył w milczeniu, lub przymykał oczy, a kiedy mu się jaka melodia podobała, wtedy naciskał guzik, który w sąsiednim pokoju dawał znak do powtórzenia. Najwięcej lubił on, jak mi mówili muzykanci, melodye Szopena, smutne i ponure, że gorączki od nich dostać można, szczególnie jakiś marsz żałobny, prawdziwe jęczenie suchotnika, któremu pora do trumny. Ja przy przy pierwszych taktach uciekałem na dół. Ale pan Graindorge zdawał się znajdować dziwną przyjemność w sprzeczności muzyki i tańca; bo zapomniałem panu powiedzieć, że Concepcion, ze swemi kruczemi włosami, w które wpłatała czerwone gwoździki, z czarnemi oczami błyszczącemi jak ogień, z żywą purpurą, którą po chwili pokrywały się jej policzki, wydawała się żywym kwiatem, ale o życiu silniejszym i świetniej-

szem niż wszystko, co pod naszym słońcem spotkać możemy. Kiedy wirowała w swej spódnicy różowej złotem przetykanej, albo, w chwilę później, nieruchoma zatrzymywała się, a pierś i ramiona jej drgały, płomienie biły jej z oczu jak z rozpalonego ogniska, i ja, chociaż od szaleństw młodości zabezpieczony, uciekałem od dziurki od klucza i biegłem rozerwać się w kredensie, gdzie ona zawsze kazała chować dla mnie butelkę tego sławnego wina czerwonego, tak zbawiennego dla mego żołądka. Co do pana Graindorge, to pozostawał on nieruchomy jak jedna z jego beczek z olejem (przepraszam za to porównanie trywialne, ale trafne); tylko w powozie miewał czasem łzy w oczach. Nigdy nie przyklasnął, ani się odezwał; odchodząc, całował rękę Concepcion z jakąś szczególną powagą. Może to dlatego ona go polubiła; czuła się prawdziwie podziwianą, a zniechęciła paryżan, którzy tańca nie rozumieją. Ale ja przecież taniec także rozumiałem! Dowodem, że nie mogłem wytrzymać przy dziurce od klucza! Że musiałem wypijać całą butelkę wina, by głowę uspokoić! Że złość mnie brała, kiedy o jedenastej wieczorem pan Graindorge kazał konie zakładać! Dlaczego to on był na kanapie, a ja pod drzwiami? Dlaczego on dostarczał butelki, a mnie pozostawało ją wypijać? Ani był młodszym ode mnie, ani był przyjemniejszym w obejściu; co zaś do gruntownego wykształcenia i prawdziwej wartości, to nie warto nawet porównywać. Ja spędziłem życie z klasykami, on z wieprzowiną i olejami: ztąd jego przywileje! Dziwna ironia stosunków społecznych! Im mniej się jest wartym, tem więcej się posiada.

Pozostaje mi już tylko zanotować niektóre osobliwości w osobie i w gustach pana Graindorge'a. Uparte noszenie ciasnych butów dało mu dwa nagiotki na lewej nodze, a trzy na prawej. Z czasem, przy wielkich staraniach, przy codziennem używaniu ciepłego obmywania i pilki, udało mi się uwolnić go od tej przykrości; wszystkie przyjemne kroki, jakie zrobił w przeciągu ostatnich trzech lat, mnie zawdzięcza; i gdyby miał serce prawdziwie wdzięczne, to nigdyby nie postawił jednej nogi przed drugą, nie pomyślawszy o moich zasługach. Ale kiedy umysł jego nie był zajęty płochami myślami, to w nim panował wszechwładnie egoizm. Nie potrzebuję na to innego dowodu, jak te notatki o Paryżu, które pan mu zrobiłeś zaszczyt wydrukować. Nie tylko, że ja pisałem je pod jego dyktandem, lub przepisywałem jego bazgranię, ale ja poprawiłem korektę, punktację, akcenty, zdania kulawe, ja nieokrzesanemu amerykańskiemu stylowi pana Graindorge'a nadawałem ten połysk, któremu jego na wpół-barbarzyńskie szkice zawdzięczają pańskie pochwalebne uznanie. Mogę śmiało powiedzieć, że przez lat trzy byłem nietylko jego sekretarzem, ale jego współpracownikiem, i moja dyskrecya była równą mej gorliwości. A jakżeż pan Graindorge się odwdzięczył? gdzie wspomniał moje nazwisko? Czy jest choć jedno zdanie, gdzieby wspomniał o moich usługach? W tych dwudziestu czterech listach mówi on o wszystkim: o siostrzeńcu, o przyjaciółkach, o ojcu, o samym sobie, o swoich gustach, o podróżach, o mieszkaniu, a o mnie ani słowa. Czy to zażdrość? czy chciał mnie usunąć? Czy myślał, że

przeszkodzi mi dotrzeć do publiczności? Czy się obawiał, aby mnie jego dzieła nie przypisano? Dzięki Bogu, ja jestem wyższy nad słabości, które się w świecie autorów spotykają; nie pożądam cudzego dobra, dość mam swojego; jeżeli w dziele pana Graindorge'a jaka część jest moją, darowuję ją. Daleką odemnie jest myśl być równie niedelikatnym, jak on; niech pan Graindorge zachowa dla siebie swoje zdania niepoprawne, zwroty pospolite, styl urywany i dziwaczny; krzywdębym sobie wyrządził, upominając się o nie, i mógł pan już dzisiaj zauważyć, że pióro jego przeszło w inną rękę.

W zeszłym tygodniu otworzono jego testament i okazało się, że majątek podzielił na trzy części. Teraz już zapisuje swemu siostrzeńcowi, panu Anatolowi Durand, dwadzieścia tysięcy franków renty i oprócz tego drugich dwadzieścia tysięcy renty od dnia, kiedy pan Anatol Durand wstąpi w związek małżeński. Pochwalam to ostatnie rozporządzenie, trzeba młodzież trzymać w pewnych korbach; ale czterdzieści tysięcy renty to bardzo dużo dla młodego małżeństwa, a dwadzieścia tysięcy o wiele za dużo dla jednego młodego człowieka. Co za potrzebę miał pan Graindorge pozostawiać tak znaczną fortunę w rękach pospolitego eleganta, z którego sam drwił i którego wydatki ganił? I czyż nie miał przy sobie wypróbowanych charakterów, które lepiej zasługiwały na jego wdzięczność i lepszy użytek zrobiłyby z jego pieniędzy? Oprócz tego, pan Graindorge funduje siedem stypendyów, po trzy tysiące franków rocznie, do wypłacenia młodym ludziom

w wieku od lat ośmnastu do dwudziestu trzech, pozbawionym majątku, którzy już się dali poznać i rokuja nadzieje w naukach, w literaturze, sztuce, w prawie i medycynie, według wyboru i wskazówek komisji, mianowanych przez Akademię Lekarską, wydział prawny i pięć Akademii. Zapewne, nie można odmówić temu legatowi pewnej myśli rozsądnej, jeśli to jest wogóle rozsądnem pozbawiać młodzież podniety, którą stwarza potrzeba, i sławy, którą daje cięższa praca. Co do mnie, byłem zawsze tego zdania, że dobrobyt jest stworzony dla wieku dojrzałego, a nie dla młodzieży i że hojność osób prywatnych, zarówno jak i publiczności, lepiejby była użytą na wynagradzanie zasług przeszłych niż przyszłych. Nakoniec pan Graindorge, zapomniawszy o wszelkim wstydzie, pozostawia sześć tysięcy franków renty pannie Concepcion Nunez; rozmaite sumy od dwudziestu do pięćdziesięciu tysięcy przyjaciółom zamożnym, którzy wcale tego nie potrzebują; po sześćset franków renty swoim trzem służącym, którzy wszyscy są jeszcze młodzi i mogą służyć, a mnie, czy pan w to uwierzy? mnie, poprostu rentę tysiąca ośmiuset franków na urządzenie się i co tylko się znajdzie w jego garderobie białych krawatów i czarnych fraków! Tysiąc ośmset franków renty, sto pięćdziesiąt franków miesięcznie, pięć franków dziennie, oto nagroda za dziewięć lat służby! Za taki-to marny dar ja przez sto ośm miesięcy wstawałem wcześniej od niego, kładłem się później, czyściłem mu ubranie, pilnowałem bielizny, przepisywałem jego rękopisy i od lat czterech wypijałem już tylko ćwierć butelki wina! Czyż mógł on sobie

wyobrażać, abym z kapitałem dwóch tysięcy franków odnalazł mieszkanie podobne do naszego, meble, do których się przyzwyczaiłem, hebanowe biurko, jak to, na którym tyle pisałem, fotele, dywany, lustro, te wygody i ten wykwint, które z jego winy stały się dla mnie nieodzowne i pozbawienie których każe mi przeklinać dzień, w którym go poznałem? Na wieleż czasu wystarczą mi jego fraki i jego krawaty? Czyż będzie on tutaj za trzy lata, kiedy się ich zapas wyczerpie? Przecież wiedział dobrze, że lubię świeżą bieliznę i że muszę być zawsze przyzwoicie ubranym. Ale delikatne i wzniosłe uczucia obce mu były i z Ameryki przywiózł więcej pieniędzy niż delikatności.

W zeszłą sobotę odprowadziliśmy na cmentarz naszego nieszczęśliwego przyjaciela, nad grobem jego wypowiedziałem mowę, niejednokrotnie przerywaną oznakami uznania obecnych; dwóch, czy trzech przyjaciół nieboszczyka winszowało mi jej. Ja, proszę pana, wyższy jestem nad wszelką próżność literacką i miałem na myśli tylko spełnienie wzniesłego obowiązku i jeżeli dzisiaj, ulegając prośbom pańskim, oddałem ostatni hołd człowiekowi, którego oplakujemy, to w tem przekonaniu, że czytelnicy pańscy, czytając tę prawdziwą i szczerą opowieść, potrafią w niej poznać serce, wierne zarówno przyjaciółni, jak i prawdzie. Jeśli mi jednak wolno wyrazić jakie życzenie, to chciałbym za pośrednictwem pańskiego wydawnictwa znaleźć miejsce podobne temu, które straciłem, w tem przekonaniu, że mój nowy pryncypał, w należytem uznaniu dla moich zalet

moralnych, oraz zdolności literackich, dałby mi te same zyski, co pan Graindorge, dodając do tego moralne korzyści, których na pierwszym mojem stanowisku nie znalazłem, oraz względy, słusznie mi należne.

K O N I E C.

APTEKA
St. Jaglińskiej
Zwoleń



82338

/ 2

W-12178

82338/1

BIBLIOTERA DZIEŁ WYBOROWYCH

wychodzi co tydzień
objętości jednego tomu.

Warunki prenumeraty:

W WARSZAWIE:	Z PRZES. POCZT.:
Rocznie (52 tomy) rb. 10	Rocznie (52 tomy) rb. 12
Półrocz. (26 tom.) „ 5	Półrocz. (26 tom.) „ 6
Kwartal. (13 tom.) „ 2 k. 50	Kwartal. (13 tom.) „ 3
Za odroczenie do domu 15 kop. kwart.	

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

Dopłata za oprawę:

Rocznie	(za 52 tomy)	rb. 6 kop. —
Półrocznie	(za 26 tomów)	„ rb. 3 kop. —
Kwartalnie	(za 13 tomów)	„ rb. 1 kop. 50
Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop.		

REDAKTOR i WYDAWCA:

JAN GADOMSKI.

Redakcyja i Administracyja: Warszawa, Warecka 14. — Telefonu: 88
we Lwowie Plac Maryacki 1. 4.

DRUK J. SIKORSKIEGO. WARECKA 14.